Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 80 groszy

Nr. 18 (122)

NOWELA CONRADA „KSIĄŻĘ ROMAN"

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Warszawa, Niedziela 2 maja 1926 r.

Dziś 6 stron

Oddziały „Wiadomości Literackich"
w Łodzi, Narutowicza 14
w Paryżu, 123, boul. St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru za granicą 3 fr. franc. (0,15 dol.)

Rok III

W walce o nową kulturę polską

Polemika, która rozgorzała w ub. r. o „Pana Tadeusza" (nie bez mego, niestety, mniej lub więcej mimowolnego współudziału), była niezmiernie ciekawym wskaźnikiem naszego życia kulturalnego. Ten jednozgodny odruch opinji publicznej, skierowany na moją osamotnioną redutę, świadczyłby albo o bezwzględnej fałszywości moich tez — albo w każdym razie o jakiejś jedni mistycznej, łączącej w życiu polskiem endeka z socjalistą (jak świadczą o tem także dzieje ostatniej koalicji rządowej). Skłonny byłbym nawet mniemać, że ostatnia koalicja rządowa... została właśnie umożliwiona jednolitością frontu, zajętego przez opinję społeczną w sprawie wszczętej przeze mnie polemiki...

Nie humor ani ambicja dyktuje mi te słowa.

Należy sobie przedewszystkiem uświadomić jedno z fundamentalnych nieporozumień całego życia polskiego, jego najdziwniejszą w stosunku do całej Europy skazę czy lukę psychiczną. Jesteśmy narodem — dzięki straszliwym warunkom życia z okresu niewoli — o tyle opóźnionym w rozwoju dziejowym, że nie stworzyliśmy dotąd kultury, którąby w przenośnem słowa znaczeniu można nazwać n a r o d o w ą, a ściślej z b i o r o w ą: Polska żyje dotąd tradycją swojej kultury s z l a c h e c k i e j. Mimo całego demokratyzmu naszej konstytucji, liberalizmu naszego prawodawstwa robotniczego, przewagi chłopstwa w sejmie — Polska żyje i trwa dotąd kulturą szlachecką.

Dość spojrzeć na przeciętny typ inteligenta polskiego, urzędnika, nauczyciela, lekarza, prawnika, niezależnie nawet od sfery z jakiej wyszedł, aby bez trudu rozpoznać w nim Wojskiego, Rejenta, Asesora (co to dawniej carski, teraz Napoleona wierny sługa). Cała bowiem kultura polska natyle jest przesycona wyziewami szlachetczyzny, że „homo novus", nie mając siły wewnętrznej torowania drogi swojej bezimienności, tchórzliwie i przypochlebnie przystosowuje się do panujących warunków, czy to żeniąc się ze zlicytowaną panną z „dobrego domu", aplikując się do znanych z Niesieckiego czy niewymienionych w nim herbów, których nieomieszka utrwalić na zdobiącym grobie „skartabelli" rodowym sygnecie. „Cichy" dworek „polski" do dzisiejszego dnia dla Rostworowskich, Morstinów i Siedleckich, jak ongiś dla Mickiewicza, jest „centrum polszczyzny".

Gdy w innych krajach drogą rewolucji czy przewrotów mieszczaństwo zdołało wycisnąć swoje piętno na kulturze narodowej, w Polsce funkcje dziejowej przodowniczki zmonopolizowała szlachta i wycisnęła na kulturze zbiorowej niezatarte piętno. Żydowsko-niemieckie mieszczaństwo, obce przeważnie wszystkiemu, co się w Polsce działo, nie rościło pretensji do współtwórczości w tej dziedzinie, trwając spokojnie przy korytku perkalikowych interesów i podejrzanych handelków. Polskie zaś mieszczaństwo składa się niemal wyłącznie z wywłaszczonej ze swych Soplicowów czy Nawłoci szlachty, która żyje ustawicznie wspomnieniami tej bohaterskiej przeszłości, kiedy to „panie dzieju" Wojciech z japą otwartą czekał na pańskie kichnięcie (np. Wirski z „Lalki").

Prus, torując drogę Wokulskiemu do hrabiowskich salonów, „wpuszcza" go tam z poręki Przezesowej, która kiwa głową nad upadkiem sklepikarskim pupila, ale pamięta przecież, że jest to spodlała wprawdzie, bądź co bądź jednak „krwi szlacheckiej" latorośl. „Lalka" jest jednym z najjaskrawszych dowodów, że niema w Polsce wcale kultury „międzystanowej", że jedyną formą życia kulturalnego jest szlachetczyzna. I nie inaczej (jak to gdzieindziej starałem się uwidocznić) ujmuje tę sprawę Żeromski.

Moja tak „niehistoryczna" walka z „Panem Tadeuszem" jest w istocie swojej walką z fikcją jedności kulturalnej życia polskiego, z upajającą złudą, że kultura szlachecka da się utożsamić z kulturą zbiorową narodu. Jest to jedno z najboleśniejszych nieporozumień, prowadzące do najtragiczniejszych konsekwencyj. Wzywa się naród do zgody, jedności i innych sakramentalnych cnót w imię poddania się interesom szlachty niegdyś, interesom burżuazji obecnie. Soplicowo, Krzemieniec, Nawłoć czy perkaliki ożenionego ze szlachcianką polską Niemczyka łódzkiego — roszczą sobie pretensję do narzucania zbiorowości złotego pomostu jedności kulturalnej. Wszystko to, oczywiście, jest tak śmiesznem zaklamaniem, że wstyd nawet kruszyć o to kopje. „Niema zgody, zgoda będzie zgubą" — krzyknę ustami pana Buchmana, i przyszłość opowie się za mną.

A jednak, pomimo całej banalności tej prawdy, jest ona niedostępna dotąd dla ogółu polskiego. Prof. Pigoń w swojej nowej pracy o „Panu Tadeuszu" mówi o tem dziele jako o objawie „gatunku polskiego, genjuszu rasy" i t. d. W tym efektownym wywodzie popełnia kardynalny błąd, cechujący całe historyczne życie polskie, — utożsamienia kultury szlacheckiej z polską. Jak tam było, tak było, ale obecnie szlachta musi ustąpić z drogi innym warstwom. Wszelka zbiorowość jest wypadkową wszystkich organizujących ją potęg; każda warstwa, każdy stan czy klasa ma swoją odrębną kulturę społeczną, obyczajową, artystyczną, i niepodobna z perspektywy czubka zadartego nosa czy sumiastych wąsów wnosić o stanie kiszki grubej, jelit czy miecza pacierzowego. Uważając zaś „Pana Tadeusza" za wypływ „genjuszu rasy czy gatunku polskiego", popełniamy właśnie to kardynalne niedobaczenie historyczne. Świadomość różnicy, jaka zachodzi między kulturą szlachecką a polską, mieli zresztą niektórzy romantycy, dość wspomnieć Słowackiego („Lilla Weneda", „Grób Agamemnona") i Goszczyńskiego („Król zamczyska"). Z biegiem czasu jednak ta świadomość rozpłynęła się w złudnym nastroju „kochajmysięgo" (jakby rzekł Irzykowski) zakłamania.

Pierwszym człowiekiem, który zdobył ponownie pełnię tej świadomości, był Reymont, twórca nowej epopei chłopskiej. To nie świtka niedzielna operowego krakusa, stangreta przy dworze, — to zdeptane od stuleci, a wiecznie żywe, kłębiące się, sobiepańskie życie gromady chłopskiej, o swoim wymiarze czasu i przestrzeni, nowy, olśniewający świat brutalnego piękna wenedyjskich autochtonów, którym znaczono zwycięstwo nad krzykliwymi Lechitami. Nie docenniamy dotąd społecznego znaczenia „Chłopów". Jest ono olbrzymie, otwiera epokę. „Szlachecka" krytyka oficjalna zlekceważyła to dzieło zdawkowemi pochwałami, to dzieło, które miało możność dokonania przewrotu w umysłowości polskiej. Po „Panu Tadeuszu" jest to pierwszy utwór, roszczący sobie pretensję do zbogacenia kultury zbiorowej nowemi pierwiastkami. Stary czy młody Boryna nie mieści się zupełnie w ramach safandulskiego piękna Wojskich i Protazych, niema „genjuszu rasy", któryby stworzył złoty pomost „kochajmysięgo" obłapiania dziedzicowej cholewy — to nowa niesamowita potęga, nowy żywioł kosmiczny, nowa siła dziejowa, nieprzewidziana przez filantropję Mickiewicza czy wzniosły humanitaryzm Żeromskiego. Ten chłop o nic prosić nie będzie, z żadnej łaski pańskiej nie skorzysta, żadną filantropją kapryśnego rozumu czy histerycznego serca nie trafi do jego przyczajonej woli. Jest sobą — pierwiastkiem nie dającym się rozłożyć na składniki dotychczasowej kultury polskiej, siłą sprawczą, koordynantą nowej rzeczywistości. To nie Michcik, uczłowieczony przez łaskę pańską Piotra i zepchnięty z wyżyny wzgardliwym śmiechem Gintułta.

Nowym, nieuwzględnionym dotąd należycie składnikiem w dziejach kultury polskiej jest rola klasy robotniczej, która bądź co bądź stanowi czynnik rozstrzygający w chwili obecnej, choć brak jej jeszcze świadomości swej roli dziejowej. Ta klasa robotnicza, która w straszliwych warunkach walki z kapitalizmem wytwarza sobie nową „niehistoryczną i beztradycyjną" świadomość dziejową, ta klasa, która nic nie ma do stracenia a wszystko do zdobycia, jest powołana do stworzenia nowej „proletarjackiej" kultury polskiej.

To będzie trzeci nieunikniony czynnik społecznej ekspansji i dziejowego rozmachu, przyćmiewający i niwelujący dotychczasową kulturę szlachecką, która powinna pochylić czoła przed tą czerwoną różdżką, wykwitającą ze zmurszałego pnia historycznej rzeczywistości polskiej.

Walka między temi trzema dziejowemi potęgami do dzisiejszego dnia określa nowe życie polskie.

Dopiero gdy klasa robotnicza zdoła wycisnąć właściwe sobie piętno na dotychczasowej kulturze polskiej, gdy te dwa zmagające się czynniki triumfującej dotąd w półgębku półinteligenta kultury szlacheckiej z nową rodzącą się kulturą włościańsko-robotniczą — doprowadzą do jakiejś wypadkowej sił dziejowych, twórczej syntezy życia, — można będzie mówić w Polsce o kulturze zbiorowej, jednolitej, której dotąd niema i być nie może. Wszelkie próby uogólnień psychiki szlacheckiej na naród są załości godnym samogwałtem, świadczącym o całkowitem wypraniu z historycznego zmysłu i świadomości społecznej.

Z uczuciem ulgi dziejowej podkreślić należy, że nowa poezja polska staje się powoli świadomym czynnikiem w tej walce o nową kulturę zbiorowości, że pod wielu względami wyprzedza i toruje drogę nawet walczącemu proletarjuszowi, który niezawsze ma pełnię świadomości swojej misji dziejowej, przyćmionej często przez sentyment zdawkowych zgryzów nad kurhanami romantycznych wspomnień szlachecko-mieszczańskiego demokratyzmu. Z dziejowych, torujących drogę tej nowej kulturze proletarjackiej, należałoby wymienić grupkę ludzi, nieutrzymujących nawet ze sobą żywej łączności, rozdzielonych czasem, przestrzenią, zbliżających się jednak różnemi drogami do wspólnego celu. Niema mowy narazie o żadnej grupie, klanie, klubie, piśmidełku, — zasadą jednoczącą będzie kształtowanie nowej kultury zbiorowości polskiej, opartej na psychice włościańsko-robotniczej. Do tej bezkształtnej lecz nie bez swoistego oblicza grupy zaliczyćby można: Broniewskiego, Przybosia, Słobodnika, Standęgo, Sterna, Wandurskiego, Zegadłowicza (a może i mnie) i kilku innych o mniej zdecydowanym zarysie. Twórcą epopei robotniczej w stylu „Chłopów" Reymonta powinien się stać, sądząc z jego dotychczasowego rozwoju od „Zawodów" przez „Łuk" i „Generała Barcza", najżywszy i najtęższy ze współczesnych pisarzy polskich — Juljusz Kaden-Bandrowski.

O „genjuszu" zaś „rasy polskiej i gatunku" będziemy mówili wtedy, gdy ta „rasa" zdobędzie prawo głosu i kształtowania życia, gdy niehistoryczne dotąd a stanowiące szpik kości, miąższ mięśni, mózg i serce narodu, zdeptane jeszcze warstwy dziejowe uzyskają możność odciśnięcia swego piętna na „gatunku polskim". Pozwolimy więc sobie tę sprawę narazie przekazać potomności, która pozbędzie się skazy zaściankowej szlachetczyzny i wyrośnie na gruncie stworzonej przez nas nowej kultury włościańsko-robotniczej.

Jan Nepomucen Miller.

NOWY ZESZYT

„SKAMANDRA"

ZA KWIECIEŃ 1926 R.

ZAWIERA

*KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: Gaj Akademosa. — WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: Zioła. Listopad. — MIECZYSŁAW JASTRUN: Poczęcie. * * *. ALEKSANDER WAT: Bezrobotny Lucyfer. — JULJAN TUWIM: Przemiany. — ANTONI SŁONIMSKI: Sen Adama. Uśmiech — JERZY LIEBERT: Anioł żalu. Próby serdeczne. — WŁADYSŁAW STERLING: Luna. — LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW: W obronie „nowych rymów". — SERGJUSZ JESIENIN, przełożył WŁADYSŁAW BRONIEWSKI: Pugaczow (poemat dramatyczny, V—VII).*

Okładka TADEUSZA GRONOWSKIEGO.

Cena zeszytu zł. 3.—

Prenumerata wrcz z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie

Dla abonentów „Wiadomości Literackich" 25% zniżki

Redakcja: Złota 8 m. 5, tel. 132-82

Administracja: Boduena 1 m. 2, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515

Piąty tom poezyj Słonimskiego

W najbliższych dniach nakładem księgarni F. Hoesicka ukaże się tom poezyj Antoniego Słonimskiego. Z tomu tego wyjmujemy dwa utwory.

fot. Pęcherski

NA GROBIE ŻOŁNIERZA NIEZNANEGO

Czarną trumnę dębową złożyli do ziemi,
Lecz ziemia jest przejrzysta a trumna jest szklana,
I zawsze patrzeć na nas będzie krew przelana
Oczami czerwonemi.

I nie ucichną usta przywalone gliną,
I szumieć będą w wichrach chorągwie cmentarne,
Aż wychylimy do dna puhary ofiarne
Krwi niezmienionej w wino.

W DRODZE

Na niebie jest wiele gwiazd,
Których nikt nie przeliczy.
Na ziemi jest wiele miast,
A w każdem wiele goryczy.

Idę prosto przed siebie
Ach, gdzież jest koniec i kres?
Gwiazdy liczę na niebie
Oczami pełnemi łez.

STANLEY

Latem, gdy przez otwarte żaluzje w pomroku
Księżyca chłodny strumień przepływał nad głową,
Na fotelu, pod lampą okrągłą, gazową
Pani w bufiastej sukni z czterdziestego roku

Przerzucała ryciny modnego dziennika:
Oto księżniczki Windsor rysy jak kamea,
Oto powstanie w Indjach, nowy krój stanika,
Zniknięcie Livingstone'a i podróż Stanleya.

Jakże ten świat jest wielki, jak ciągle urasta,
Jak miło myśleć o tem, teraz, gdy bez szmeru
Płonie lampa gazowa, — z niskiego parteru
Gdy słychać gwar wieczorny cichnącego miasta.

O, jakże była inna ta noc nad Tamizą,
I ta noc afrykańska na gwiaździstej rzece,
Pod namiotem płóciennym, nad pustą walizą,
Kiedy Stanley ogryzał dymiącą psią pieczeń.

Wśród tańczących pochodni, wśród krzyku Murzynów
Na białych polach mapy dwaj Anglicy biali
Ponad głowami świata gdy swą dłoń ściskali
I ręce spletli twardo, jak wieńce wawrzynu.

Wy, co spokojnie śpicie w ciepłych, starych domach,
Pomyślcie czasem o nas, zanim sen was zmorzy.
Tyle tylko nam trzeba zgubionym w ogromach,
Nam, którzy drżą na rzekach i czekają zorzy.

Dalsze premja dla abonentów „Wiadomości Literackich"

50–25% zniżki

na szeregu cennych wydawnictw

W **ciągu maja** wszyscy prenumeratorzy „Wiadomości Literackich" korzystać mogą na niżej wyszczególnionych wydawnictwach ze zniżki **50—25%**. Prenumeratorzy, którzy opłacili prenumeratę po dzień 1 lipca b. r., mają prawo wyboru książek do wysokości **zł. 50** ceny katalogowej,—którzy opłacili prenumeratę po dzień 1 października b. r.—do **zł. 100,—** którzy opłacili prenumeratę po dzień 1 kwietnia 1927 r.—do **zł. 200.** Należności, po potrąceniu odpowiedniego %, należy wpłacać na rachunek „Wiadomości Literackich" w P. K. O. (8.515), bezpośrednio w administracji pisma (Warszawa, Boduena 1) lub przekazywać zwykłą drogą pocztową. Przesyłka odbywa się **na koszt administracji.**

50%

Iłłakowicz. Śmierć Feniksa	1.—
Iwaszkiewicz. Dionizje	1.60
Lechoń. Karmazynowy poemat	1.60
— Srebrne i czarne	4.—
Piłsudski. O wartości żołnierza legionów	1.50
— Rok 1863	1.20
— Wspomnienia o Gabrjelu Narutowiczu	1.50
Piłsudski i Miles. Naczelni wodzowie	2.50
Rimbaud, przekład **Iwaszkiewicza i Tuwima.** Poezje	2.—
Shaw. Cezar i Kleopatra	2.—
Słonimski. Droga na Wschód	1.—
Whitman. Trzy poematy	1.40
Wierzyński. Pamiętnik miłości	6.—
— Wielka Niedźwiedzica	2.60
— Tragedja florencka	2.—
Zieliński. Starożytność antyczna a wykształcenie klasyczne	0.40

45%

Broniewski. Wiatraki	3.50
Liebert. Druga ojczyzna	3.—
Shaw. Święta Joanna	4.80

40%

Zieliński. Chrześcijaństwo starożytne a filozofja rzymska	0.40
— Idea Polski w dziełach Sienkiewicza	0.40
— Piękna Helena	0.80

35%

Conrad. Korsarz. Powieść	6.—
Iwaszkiewicz. Kasydy	3.50
— Księżyc wschodzi. Powieść	6.—
Nałkowska. Dom nad łąkami. Powieść	4.80
Strug. Pokolenie Marka Świdy	7.50
Wierzyński. Wróble na dachu	3.60

30%

Bennett. Miłość uświęcona i miłość wolna. Powieść	4.—
Krupiński. Pieśń o Józefie Piłsudskim. Antologja	2.50
Wittlin. Wojna, pokój i dusza poety	3.60
Zieliński. Hermes Trzykroć Wielki	1.80
— Rzym i jego religja	2.50
— Świat antyczny a my	3.—
— Trzy studja o Mickiewiczu	2.—
— Z ojczystej niwy	3.—

Na tych samych warunkach

40% zniżki

(kwiecień—maj)

Przekłady i studja Boya-Żeleńskiego

Boy-Żeleński. Flirt z Melpomeną, wieczór III	4.—
— Flirt z Melpomeną, wieczór IV	7.—
Listy panny de **Lespinasse**	6.—
Rabelais. Gargantua i Pantagruel, tomów dwa (wydanie zupełne)	12.50
Stendhal. Kroniki włoskie	4.—
Wolter. Powiastki filozoficzne	
tom pierwszy	3.—
tom drugi	3.—

Cz. 3

Propaganda sztuki u naszych wschodnich sąsiadów
Teatr i kino w Rosji sowieckiej

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Moskwa, w marcu 1926.

Masowa teatralizacja całego życia.

Związek Radziecki — to kraina teatru. Rosjanie zawsze mieli wybitne zdolności aktorskie, pod panowaniem jednak nowego ustroju, kiedy do życia społeczno-politycznego wciągnięte zostały olbrzymie masy ludności, zdolności aktorskie rozwinęły się bodaj jeszcze bujniej. Czyż wielkie zgromadzenia ludowe, ogromne wiece, potężne manifestacje, pochody i uroczystości, w których biorą udział dosłownie setki tysięcy ludzi, — to nie olbrzymie przedstawienia, potwornie wielkie widowiska, gdzie widzowie są jednocześnie aktorami?

Każda masowa demokracja w objawach swoich miała zawsze dużo teatralności. To samo było w Grecji, to samo w Rzymie, w tych czasach, kiedy działały masy ludowe; to samo wreszcie podkreślają wszyscy historycy rewolucji francuskiej, która w swych uroczystościach, w swych świętach rewolucyjnych i publicznych walkach politycznych miała tyle teatralności, że aż wielu późniejszym pisarzom burżuazyjnym, nie rozumiejącym życia mas, wydawało się to czemś sztucznem i rażącem.

Sam teatr, jak dobrze wszystkim wiadomo, zrodził się w krajach najbardziej demokratycznych: żył pełnią życia w Grecji, zaginął lub zwyrodniał do przedstawień dworskich w Europie feudalnej i rozwinął się do form nowoczesnych w w. XIX, w mieszczańskiej demokracji europejskiej. Teatr oderwany od tego, co najbardziej porusza masy w danej chwili dziejowej, z konieczności zamiera. Tak dzieje się np. w tej chwili w Polsce, gdzie teatr boi się — czy nie może z powodu ograniczeń cenzuralnych — dotykać tego „co najważniejsze" — i schnie w nudzie.

Ustrój radziecki powołał na scenę dziejową masy tak olbrzymie, jakich dotychczas nigdy nie widzieliśmy w dziejach świata. Teatralność musiała stać się jednem ze znamion szczególnych tej kolosalnej demokracji.

Dobrych, nieraz prawdziwie świetnych, mówców, zdolnych porywać za sobą masy, — a każdy dobry mówca musi być aktorem, — spotkać tu można wszędzie: nietylko po wielkich miastach i w dużych ośrodkach przemysłowych, lecz po najbardziej zapadłych kątach prowincji, lub między dziećmi i młodzieżą po szkołach. Słyszałem pierwszorzędne talenty oratorskie na posiedzeniach rad wiejskich i słyszałem chłopców czternastoletnich, przemawiających na ogromnych dziecięcych zgromadzeniach szkolnych: mówili oczywiście nie o wielkiej polityce, lecz o sprawach zajmujących młodzież szkolną, — ale mówili doskonale; jeden z nich, czternasto- czy piętnastoletni chłopak w roli przewodniczącego ze spokojem, taktem i pewnością siebie panował nad zgromadzeniem, złożonem z dwustu osób różnojęzycznej młodzieży, przybyłej w odwiedziny do szkoły z różnych stron Związku.

W takich warunkach nie brak talentów dla właściwego teatru. To też teatrów najrozmaitszego rodzaju pełno wszędzie — począwszy od wielkich teatrów stołecznych aż do nieprzebranego mnóstwa teatrów robotniczych, chłopskich, małomiasteczkowych, stałych i wędrownych. W Moskwie jest kilkadziesiąt teatrów publicznych, grających codziennie i codziennie przepełnionych — nie licząc mnóstwa teatrów po przeróżnych klubach i stowarzyszeniach, od których aż się roi.

MChAT'y — „Wirinieja".

Opera i balet pracują podług starych wzorów. Balet rosyjski zawsze był świetny i dzisiaj jest bardzo dobry. W teatrach dramatycznych panuje styl Stanisławskiego. Jest kilka t. zw. „MChAT"ów, pracujących podług wzorów Stanisławskiego. („MChAT" — to „Moskowskij Chudożestwiennyj Akademiczeskij Teatr"). Grywają tam zarówno stary repertuar — Ibsena, Gorkiego i t. d. — jak repertuar nowy, złożony najczęściej ze sztuk, pisanych na tle życia współczesnej wsi sowieckiej.

Do świetnych zjawisk tego nowego repertuaru należy np. grywana w Studjum Wachtangowa (także „MChAT") „Wirinieja" Sejfuliny. Na sposób Stanisławskiego odtworzona wieś sowiecka w okresie walk rewolucyjnych — wieś z jej dzikiemi przesądami, ciemnotą i zarysowanemi na tem tle przepysznemi postaciami ludzi nowych, młodych i zdrowych, którzy mocno się kochają i niemniej mocno biją tych, których uważają za swych zdecydowanych wrogów. Sztuka ta nie ma charakteru propagandowego, i na czoło wysuwa się raczej dramat osobisty dwojga bardzo pięknych ludzi, niż tendencja polityczna. Jest jednak niewątpliwa i zupełnie zdecydowana postawa wobec najważniejszych zjawisk społecznych, postawa, która najwidoczniej tak jest już zrośnięta z właściwym autorowi sposobem ujmowania życia, że wydaje się jakby inaczej być nie mogło. Wirinieja — to dziewczyna wiejska, bezdomna i opuszczona, budząca namiętność wszystkich spotkanych mężczyzn. Działają w niej tylko zwykłe kobiece namiętności: przechodzi ona obok miłości słabego, zniszczonego degenerata chłopskiego, z pogardą porzuca inteligenta-inżyniera, który zresztą pociąga ją swą siłą męską, i oddaje się całkowicie zdrowemu, jędrnemu, spokojnie idącemu na walkę śmiertelną bolszewikowi.

Sztuka ta wymagałaby właściwie specjalnego studjum. Są w niej sceny głęboko tragiczne, wolne jednak najzupełniej zarówno od jakiegokolwiek sentymentalizmu, od deklamacji, jak od sztucznego patosu czy rozumowań. Ci ludzie nie zabawiają się rozumowaniami. Mędrkować nie umieją — umieją tylko działać: swą treść wewnętrzną wyrażają w czynach, które sami uważają za rzecz najnaturalniejszą i zrozumiałą sama przez się. Zarówno reżyserja jak autor nie cofają się przed najbardziej zdecydowanym realizmem. Wyrażenia i gesty są brutalnie, może nawet przesadnie chłopskie. A jednak dwie kulminacyjne sceny między dwojgiem kochanków — scena zgody na życie wspólne i potem, w końcu, scena pożegnania, kiedy on odjeżdża na wojnę, pozostawiając żonę w ciąży, — są pełne szczerego i czystego liryzmu. Jak widać, w samym temacie niema nic szczególnie nowego; przeciwnie — to rzeczy stare jak świat, — miłość i wojna; ale nowe środowisko, zupełnie nowe potrzeby życia społecznego i nowe poglądy zasadnicze wytworzyły ujęcie tematu niespotykane na scenach europejskich.

MEYERHOLD

Meyerhold.

W inny sposób wystawia teatr Meyerholda. Pisano o nim wiele. Jest to teatr, który ma na celu rewolucjonizowanie nietylko sztuki. To teatr o wyraźnych i jawnych dążnościach politycznych. Myliłby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że sztuki o wyraźnej tendencji komunistycznej przejadły się publiczności moskiewskiej; przeciwnie — cieszą się zawsze niesłabnącem powodzeniem, i miejsce dostać nie tak łatwo. Meyerhold ma zwykle trzy lub cztery sztuki, które grywa stale po kilka miesięcy każda, dając je kolejno w ciągu każdego tygodnia. Przy tego rodzaju systemie przyjezdny, który spędza w Moskwie kilka dni lub tydzień, ma możność zapoznania się z całym każdorazowym repertuarem Meyerholda. Ostatnio, podczas mego pobytu w Moskwie, grywano u Meyerholda „Las" Ostrowskiego, „Trust D. E.", przeróbka z powieści Erenburga (rzecz najsłabsza w tym repertuarze) i groteskowo-agitacyjny „Mandat" Erdmana. W ludzie nie zabawiają się rozumowaniami. Mędrkować nie umieją — umieją tylko działać: swą treść wewnętrzną wyrażają w czynach, które sami uważają za rzecz

tym wprowadzono nowość — „Ryczi, Kitaj!". Jest to niewątpliwie najlepsza rzecz, jaką widziałem u Meyerholda.

„Ryczi, Kitaj!"

Tytuł wzięty ze znanego wiersza Majakowskiego. Ostry protest przeciwko europejsko-amerykańskiemu najazdowi na Chiny. Rzecz dzieje się w chińskiem mieście portowem i na pancerniku angielskim. Towarzystwo kupców, aferzystów i wojskowych marynarzy angielskich, z nieodłącznym pastorem, — to jedna strona; druga — tłum kulisów chińskich.

Dochodzi do ostrych starć. Za jednego Amerykanina, który pobiwszy się z Chińczykiem — przewoźnikiem na łódce, przypadkowo wpadł do wody i utonął, zostaje uduszonych dwóch przewoźników chińskich, wybranych losem z całego związku przewoźników. Świetnie pomyślane i niemniej świetnie odegrane są sceny moralnego znęcania się Amerykan i Anglików nad Chińczykami. Z jednej strony nędza moralna i bezmierna obłuda białych „cywilizatorów", z drugiej — tłum chiński, tłum ludzi zbiedzonych i bezradnych, głodnych i obdartych. W sztuce tej niema bohatera. Jest przepysznie wyreżyserowana masa, i są głęboko tragiczne przeżycia tej masy. Sztuka bodaj najbardziej uboga w słowa, jaka kiedybądź była napisana. Gadatliwi są tylko biali, którzy gadaniną pokrywają nędzę wewnętrzną. Tłum chiński przeżywa tragedję albo zupełnie w milczeniu, albo wypowiada się pomrukami uczuciowemi, albo wreszcie rzuca tylko wyrazy najkonieczniejsze dla zrozumienia tego co się dzieje. Napięcie tragiczne rośnie nieustannie, aż do ostatniego aktu, kiedy po egzekucji Chińczyków (egzekucja odbywa się grywa stale po kilka miesięcy każda, dając je kolejno w ciągu każdego tygodnia. Przy tego rodzaju systemie przyjezdny, który spędza w Moskwie kilka dni lub tydzień, ma możność zapoznania się z całym każdorazowym repertuarem Meyerholda. Ostatnio, podczas mego pobytu w Moskwie, grywano u Meyerholda „Las" Ostrowskiego, „Trust D. E.", przeróbka z powieści Erenburga (rzecz najsłabsza w tym repertuarze) i groteskowo-agitacyjny „Mandat" Erdmana. W lu-

Krytyka stosunków sowieckich na scenie.

Scena sowiecka bynajmniej nie cofa się przed bardzo ostrą krytyką stosunków, panujących w kraju. Widziałem dwie tego rodzaju sztuki na scenie Teatru Rewolucji: „Wozdusznyj pirog" Romaszowa i „Użowka" Szymkiewicza. „Wozdusznyj pirog" — to dzieje „czerwonego dyrektora" w jednym z banków. Czerwony dyrektor, człowiek słaby, pozwolił opanować się otaczającej go kanalji i doprowadził do upadku cały bank, ściągając na siebie i na wielu innych szereg nieszczęść. Sztuka zresztą dość słaba. — Użowka — to nazwa wsi gdzieś w zapadłym kącie prowincjonalnym. Rządzi tam samowładnie, niby kacyk, „komunista", któremu podczas zawieruchy wojennej udało się w jakiś sposób wcisnąć się do partji. Rządy jego — to szereg nadużyć i zbrodni. Wreszcie ponosi zasłużoną karę, ale nie z rąk prawowitej władzy komunistycznej, jeno z rąk gromady wiejskiej, która samosądem wymierza sobie sprawiedliwość. Sztuka jest zrobiona i grana znakomicie.

Sztuki historyczne.

Modne są teraz sztuki historyczne, pisane na tle wydarzeń r. 1905 lub dawniejszych. Należy tu np. „Azef" Aleksieja Tołstoja i Szczegołewa, spółki fabrykującej stale tego rodzaju utwory. Widziałem tę rzecz w Teatrze Dramatycznym (b. teatr Korsza). Do tego samego rodzaju utworów zaliczyć trzeba „Dekabrystów" Lernera. Sztuki takie — to zwykle melodramaty, pisane z dużą dbałością o ścisłość historyczną przedstawianych wydarzeń. Wartości artystycznej rzeczy te nie posiadają, choć robione są naogół bardzo zręcznie.

Kino.

W latach ostatnich zwrócono w Związku Radzieckim wielką uwagę na kino. Własna produkcja filmowa rozwija się bardzo bujnie i robi ogromne postępy — choć dotychczas pod względem technicznym pozostaje daleko w tyle poza produkcją amerykańską. Filmy sowieckie odróżniają się od zachodnio-europejskich i amerykańskich przedewszystkiem swoją treścią. Są to albo filmy historyczne z dziejów rewolucji w Rosji, albo też najrozmaitsze rodzaje ideowych filmów, mniej lub bardziej agitacyjnych — najczęściej z życia chłopów i robotników. W czasach ostatnich z okazji dziesięciolecia rewolucji 1905 r. dano szereg filmów historycznych. Do najlepszych należy „Branienosiec Patiomkin", odtwarzający bunt na pancerniku floty czarnomorskiej — ten sam moment dziejowy, który wziął za temat Miciński w swym „Kniaziu Patiomkinie". Dobre są także dzieje Hapona i rzeź styczniowa na placu przed Pałacem Zimowym w Petersburgu. Filmy agitacyjne oparte są nieraz na pomysłach bardzo ładnych, ale pomysły te są nie wyzyskane przez reżyserję, najczęściej zaś wszystko traktowane jest zbyt teatralnie. Aktorzy bardzo dobrzy, ale raczej teatralni niż kinowi. Duże ubóstwo środków technicznych.

Pomimo to kino cieszy się powodzeniem nie mniejszem, niż teatr, i jest wszędzie. W czasach ostatnich dużo się pisze i mówi o produkcji kinowej przystosowanej specjalnie do potrzeb wsi. Są już filmy, układane specjalnie na potrzeby wsi; otwarta jest w tej sprawie szeroka dyskusja publiczna zarówno pomiędzy specjalistami jak między wiejskimi widzami. Rezultaty jej napewno będą bardzo ciekawe. Do tej sprawy, jak do każdej innej w Związku Radzieckim, wciągane są do współpracy olbrzymie masy; wszystko odbywa się w skali poprostu nigdzieindziej nie spotykanej. Ankiety przyniosły dziesiątki tysięcy odpowiedzi; są już całe stosy projektów i pomysłów; niezliczone mnóstwo mieszkańców wsi i miasteczek wypowiedziało swe zdanie o filmach dotychczasowych i dało wyraz potrzebom kinowym swego środowiska.

„Siniaja Bluza".

Zupełnie szczególnym rodzajem widowisk teatralnych są przedstawienia trup t. zw. „Siniej Bluzy" („Bluza Niebieska"), „Siniaja Bluza" istnieje wszędzie — trupy są różnej wartości, ale rodzaj jest jeden. Trupa składa się z ośmiu do piętnastu osób obojga płci z przewagą mężczyzn. Wszyscy występują w jednakowych szaro-niebieskich bluzach robotniczych, na które w miarę potrzeby nakładane są ze mantorja — najczęściej groteskowe, np. cylinder, wielkie klapy od fraka, olbrzymie ordery lub karykaturalne fragmenty eleganckich strojów kobiecych. Przedstawienia składają się grane i śpiewane aktualne piosenki o treści satyryczno-politycznej, minjaturowe sztuczki sceniczne, najczęściej dotyczące zagadnień aktualnych, t. zw. „czastuszki" — dowcipne czterowiersze w gwarze chłopskiej — i produkcje gimnastyczne, zwykle nie tworzące samodzielnych punktów programu, lecz wplecione w akcję ogólną. Przedstawienie trwa nieco mniej niż dwie godziny, bez antraktów; zwykle całe w tempie prestissimo. Aktorzy muszą być bardzo muzykalni, muszą być doskonałymi gimnastykami, muszą mieć zdrowe muskuły, zdrowe serca, zdrowe nerwy, muszą być młodzi i tryskający życiem. Widz jest porwany samym temperamentem aktorów, zawrotną szybkością tempa, doskonałością wykonania, jest chwycony w szybki rytm jakby młodzieńczego tańca i w tym rytmie musi poddać się poddawanym mu ideom i poglądom.

Jan Hempel.

Czeska antologja poezji polskiej

Kiedy w nr. 96 „Wiadomości" pisaliśmy z okazji zgonu Franciszka Kvapila o zasłużonej działalności tego wybitnego pisarza czeskiego dla propagandy kultury polskiej wśród Czechów, zaznaczyliśmy, że w ciągu lat ostatnich przygotował on obszerną czterotomową antologję polskiej, od Norwida począwszy aż do najmłodszych. Obecnie, gdy wyszły z druku pierwsze dwa tomy, można już osądzić, jaką rzeczywistą i nieocenioną przysługę oddał sędziwy poeta literaturze polskiej, przedstawiając ją czytelnikom czeskim w tak bogatym wyborze i w przekładzie niezwykle precyzyjnym i pełnym poetyckich walorów. Sam Kvapil bowiem, jeden ze znakomitszych poetów plejady grupującej się w swoim czasie około Jarosława Vrchlickiego, posiadał specjalną giętkość i barwność wiersza, która tłumaczeniom jego nadaje tak wysoki poziom oraz nieprzeciętną wartość literacką. Tem bardziej, że wyjątkowe zrozumienie przez Kvapila ducha literatury polskiej i polskiej twórczości wogóle, umiłowanie jej i gruntowna znajomość oraz zdolność przenikania każdego tłumaczonego utworu — przynajmniej z epoki wewnętrznie od własnego jego usposobienia i przekonań artystycznych nie zanadto oddalonej — umożliwiała mu doskonałe odtwarzanie poezyj poszczególnych autorów polskich w języku czeskim. Dowiodły tego już dawniejsze przekłady Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Asnyka i innych, a przedewszystkiem oba tomy obszernego wyboru poezyj Kazimierza Tetmajera, wydane podczas wojny światowej, wreszcie obecnie — dwa tomy wielkiej antologji — zawierające właśnie epokę, indywidualności tłumacza najbardziej odpowiadającą. Możeby ktoś antologję tę w szczegółach inaczej cokolwiek sobie wyobrażał, możeby rozmaite miał zastrzeżenia co do objętych wyborem autorów lub co do stosunku ilości odtworzonych w antologji utworów do wartości i znaczenia w literaturze polskiej poszczególnych pisarzy, lub też co do samych wybranych do tłumaczenia poezyj — nie zawsze najbardziej odpowiednio charakteryzujących autora, — lecz to przy ocenie nie może wchodzić w rachubę.

W ogólnym przygotowywanym przez poetę przeglądzie całej nowoczesnej poezji polskiej tom pierwszy obejmuje okres, który tłumacz charakteryzuje tytułem „Echa romantyzmu i poszukiwanie nowych dróg". Rozpoczyna się on od „pierwszych zwiastunów zwrotu" — Berwińskiego i Norwida—i poprzez Lenartowicza, Ujejskiego, Kondratowicza, Faleńskiego i Sowińskiego sięga do Zagórskiego i Bałuckiego.

Tom drugi zawiera „Epokę Asnyka", grupując w wyborze około przewodnich poetów tego okresu, Asnyka, Konopnickiej i Gomulickiego, utwory wybitniejszych i mniej wybitnych poetów współczesnych.

Pierwszorzędną zaletą antologji Kvapila są krótkie lecz doskonale ujęte charakterystyki twórczości poszczególnych pisarzy oraz dane biograficzne, zebrane i sprawdzone przez czeskiego poetę tak pracowicie, sumiennie i gruntownie, że aż nam wstyd, gdy wspomnimy o naszych polskich antologjach i historjach literatury, których dane pod tym względem są nieraz w przykrej i rażącej sprzeczności.

Ostatnie dwa tomy pojawią się w niedługim czasie staraniem czeskich i polskich przyjaciół ś. p. Kvapila, i zawierać będą według podziału i redakcji tłumacza: tom trzeci — twórczość Młodej Polski, tom zaś czwarty — przedstawicieli najnowszych kierunków literackich.

Gdyby Franciszek Kvapil niczem innem, żadną inną działalnością literacką i publicystyczną nie był się zapisał w sercach polskich, to całość tego obszernego, możliwie wyczerpującego wyboru poezji polskiej sama już potrafiłaby zapewnić mu wdzięczność naszą i pamięć po wszystkie czasy.

jm.

Powieść o Niemczech współczesnych

„Bracia Schellenberg"

Nowa książka Bernarda Kellermanna

W „Braciach Schellenberg" Bernard Kellermann dał obraz Niemiec współczesnych, powojennych i uspokojonych. Wrzenie rewolucyjne, które uchwycił w „9 listopada", skojarzyło się w umyśle pisarza z kwietystycznem „Przeżyciem Schwedenkleea" z jego późniejszej powieści, — a gdy zmartwychwstanie dusz, i ciał, po klęsce wojskowej, uzmysłowił sobie na tle tranzakcyj i grynderstwa czasów marki inflacyjnej, zrodził się w

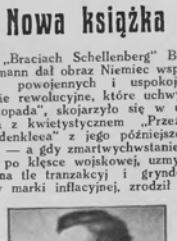

BERNARD KELLERMANN

nim pomysł nowej powieści. Z Niemiec cesarskich, „zaszyletowanych z tyłu" (zdaniem pewnych generałów) i przeoranych przez rewolucję, jako wypadkowa prądów nurtujących Niemcy powojenne— powstał temat utworu o dziejach dwu braci.

Zamykając w ramach powieści niemiecką współczesność, nie pokusił się autor o zogniskowanie w niej wszystkich idej lub programów partyjnych, wyznawanych przez swoich ziomków. Dla zwartości treści zacieśnił ramy, odrzucając programy krańcowe. Nie zajął się ani kwestją barw państwowych, ani programem narodowych socjalistów, nie wtłoczył w fabułę powieści komunizmu i nie dotknął ani słowem idei rewanżu, obawiając się zapewne, aby na ideach tych jak na skrzydłach powieść nie uleciała w „niemiecką" nieskończoność o twarzy janusowej: cesarskiej i bolszewickiej, z horyzontami dla umysłowości Kellermanna niedostępnemi.

Zastanawiając się nad strukturą społeczną Niemiec na podstawie istniejącego stanu rzeczy, Kellermann nie mógł pominąć talentów organizacyjnych, które żerując na rozkładzie i inflacji, tworzyły często z niczego potężne trusty z nadbudowami poziomemi i pionowemi. Równocześnie nędza szerokich mas, armje bezrobotnych i mnogość programów, uwzględniających te stosunki, nasuwały mu ciągle na myśl tę najsroższą bolączkę czasu, domagającą się rozwiązania.

Fascynowały go typy grynderów samym wynikiem ich usiłowań, rozmachem ujawnionym w ich legendarnie powstających imprezach. Bez uciekania się do historycznych dociekań nad źródłami powodzenia, które w stosunku do amerykańskich nababów ze wściekłą pasją odkrył Myers w swojem znakomitem dziele „o wielkich amerykańskich fortunach", Kellermann, poeta o mieszczańskiej ideologji, dał się olśnić. Jego Wacław Schellenberg — to typ stinnesowca, akumulatora kapitałów wydeptanych, wydartych i wywęszonych z każdej nadarzającej się sposobności.

Może gwoli przymilenia się pewnym kołom czytelników umaił bohatera swojego w ex-oficerstwo niemieckie, podkreślając w ten sposób przynależność Wacława do sfer ziemiańsko-zachowawczych i oficerskich, przeciwstawiając go Raucheisenowi jako kapitaliście pur sang. U Raucheisena Wacław Schellenberg spełniał funkcje dobrze płatnego, ale gruntownie ignorowanego sekretarza. W stosunkowo krótkim czasie Schellenberg potrafił przyswoić sobie fortele i sztuczki praktykowane przez mistrza i podziękował za miejsce. Usamodzielnił się.

Między założeniem własnego przedsiębiorstwa, rozrastającego się w koncern, trust, miljonokomórkowego polipa, wchłaniającego wszystko w siebie, a chwilą, gdy los jego zazębia się o ideały brata, wartką falą przelewa się tok powieści, osnutej przedewszystkiem dookoła jego postaci. Rozdział za rozdziałem poświęcony jest tej pełni życia nowobogacza wyższego rzędu, który „dobry ton" odziedziczył po epoce wilhelmowskiej.

Dla jego zbogacenia uruchomiona jest cała nowoczesna technika, na jego usługach znajduje się sztab fachowców, jemu służą samoloty i jachty, samochody i łodzie podwodne; architekci i wynalazcy pracują na jego skinienie. Adwokaci wysilają mózgi, by ułatwić mu rozwód, a piękna aktorka Jenny Florian kocha go z głębi duszy i kończy samobójstwem, gdy Wacław, żeniąc się z córką Raucheisena, zrywa z nią, wypłacając jej odprawne. Ona jedna, jako wcielenie uczucia, nie dała się włączyć w potężny trust Schellenberga, zostawiając po sobie w książce wspomnienie, choć w słabej bardzo odbitce, niezapomnianego czaru Ingeborgi. W pamięci wyłania się obraz Sibyll Vane Oskara Wilde'a.

Małżeństwo z córką starego kapitalisty Raucheisena, uważającego Wacława za intruza, nie przynosi mu szczęścia. Przedtem miał w sobie żywiołową zdobywczość yankesa, prostolinijność, szeroki i szczery rozmach i bezpośredniość w ujmowaniu spraw, obecnie przez pokrewieństwo ze starym kapitałem staje się sam ciężki i niemiecki. Żona, zdradzając Wacława z każdym i wszędzie, nie zauważając go i traktując jako quantité négligeable, wytrąca go z równowagi. Podejrzewając ją, przekonywa się, że zaszargała jego dobre imię i że go sromotnie poniżyła. Oficer W. II. I. R. tylko krwią może zmyć tą hańbę, ale zamiaru zamordowania jej nie wykonywa. Celnie wymierzonem uderzeniem pięści zdziela marnego aktorzynę filmowego, chwalącego się, że ją posiadł, — [illegible] zawodu, a społecznik z zamiłowania. Beznadziejne położenie szerokich warstw natchnęło go do dzieła. Tworzy osady dla bezrobotnych, inwalidów, zdeklasowanych, daje im prawo pracy i honor „samowystarczalności". Na głównym budynku zarządu towarzystwa wypisane jest hasło Michała:

„Śmierć głodowi.
Śmierć chorobom.
Niech żyje koleżeństwo"...

Model miasta do filmu na tle powieści Kellermanna „Bracia Schellenberg"; specjalna metoda zdjęć nadaje niewielkiemu, jak widać, modelowi pozory rzeczywistości

To są jego idee przewodnie. Wacław jest materjalistą, Michał — marzycielem wprowadzającym marzenia w czyn, Wacław jest reprezentantem materji, Michał — idei w sensie moralnym. Jeśli według symbolu Platona idee są płomieniami, to z płomieni Michała nie bije gorąco. Propagowany przez organ „Einiges Volk" program agrarny nawet w reakcyjnej Bawarji prześcignął utopję Michała Schellenberga. Kellermann jako odkrywca nowych rozwiązań nie rozsupłał programem Schellenberga ani jednego z piekących zagadnień społecznych. „Settlements" są rzeczą starą, a projekty społeczne w niektórych powieściach Żeromskiego mają w sobie więcej rzeczywistości niż miasta-ogrody i niemiecki „mir". Jak Ryszard Nienaski pada Michał Schellenberg ofiarą zamachu ze strony człowieka, którego chciał uszczęśliwić utopją czy też humanitarnością. Ideę jego podejmuje Wacław Schellenberg i wywodrowawszy do jednej ze swych posiadłości w Prusiech Wschodnich, ma zamiar kontynuować pracę swego brata dla dobra ludzkości. Ex oriente lux, lux z Prus Wschodnich...

Kellermann pomylił się w założeniu. Hasło w czasie indywidualizmu miało się ekscytującą, ale hasło nie uzdrawia, nie nasyca ani nie zbliża ludzi do siebie. Hasło wchodzi w okres urzeczywistnienia dopiero wtedy, gdy jako ideał jednostki staje się pragnieniem mas. Wtedy wykoszlawia się, trci swój indywidualny koloryt, przestaje być ideałem, przepoczwarza się w fermentującą siłę i ogarniając wszystkich staje się dążeniem o olbrzymiem napięciu. Powieść przyszłości zajmie się może procesem prawie że chemicznym przewrotów społecznych, wywołanych wskutek przesycenia elektrycznością dążeń mas i tragicznego likwidowania prądów negatywnych.

Powieść swoją kończy Kellermann testamentem Michała Schellenberga jako pacyfisty. Piękne to zakończenie wskazuje, że i Kellermann chce zatknąć biały sztandar wszechludzkiego braterstwa nad zgliszczami Europy i pragnie nietylko Pan-Europy Kalergiego, ale Pan-Universum. „I przyjdzie dzień, w którym ludzie odnajdą raj utracony po tysiącoleciach mąk i zamętu. Ziemia będzie rajem szczęśliwych pokoleń. Znikną głód i nędza, i przyjaźń będzie religją przyszłości". „Ów dzień jest bliski".

M. R. Fraenkel

ności, ani zniechęcenie podczas ciągłego cofania, lub gorycz więdnących nadziei i okropności zarazy, dodane do znojów i niebezpieczeństw wojennych. W tym to roku ukazała się po raz pierwszy w Europie cholera, przerzedzając szereg jednych i drugich i wtłaczając się w najodważniejsze nawet umysły ponurem widmem tajemniczej śmierci, bezgłośnie wkradającej się między poukładane w kozły karabiny i obozowe ogniska.

Nieraz w nocy budził zmordowanych żołnierzy nagły krzyk, i widzieli wtedy, jak któryś z towarzyszy w blasku gasnącego ognia wije się po ziemi jak robak deptany niewidzialną stopą, by przed brzaskiem już martwy zesztywnieć. Zdarzało się, że natenczas oddział cały zrywał się jak jeden mąż i gnał w ciemną noc, oniemiały z trwogi. A czasem znów towarzysz w szeregu podczas marszu używał nagle zdanie w połowie i tocząc wokoło przerażonemi oczami padał na ziemię z wykręconą z bólu twarzą i rozbijał idące szeregi rzucaniem się w straszliwej męce. Ludzie pełniący wartę padali z konia, inni na linji ognia przy armatach, lub wioząc rozkazy. Opowiadano mi, że bataljon formujący się w zupełnym porządku do ataku na wieś pod ogniem nieprzyjacielskim, zaskoczony został trzema wypadkami w przeciągu pięciu minut, i że atak nie mógł być wykonany, gdyż przodowe kompanje rozpierzchły się po polach jak plewy na wichrze.

Sierżant Piotr, choć bardzo młody, posiadał duży wpływ na swych ludzi, tak że mówiono, iż w jego szwadronie najmniej było wypadków ucieczki z szeregów. Tak to widać działał przykład nieustraszonego spokoju jednego człowieka, który nie cofał się przed żadnem niebezpieczeństwem ani strachem.

Tak czy owak kochali go wszyscy i ufali mu. Gdy przyszedł koniec, i szczątki korpusu armji, zewsząd naciskane, gotowały się do przekroczenia granicy pruskiej, sierżant Piotr zdołał skupić wokoło siebie parę dziesiątków kawalerzystów i wyprowadził ich nocną porą z otoczonej armji. Prowadził ich dwieście mil przez kraj zarażony cholerą i pełen rosyjskiego wojska. Nie wiodła ich jednak chęć uniknięcia niewoli, ukrycia się i uratowania życia... O nie! Prowadził ich do fortecy, w której jeszcze walczyli Polacy, i która miała się stać ostatnią placówką pokonanej rewolucji.

Może to brzmi fanatyzmem — ale fanatyzm jest rzeczą ludzką. Człowiek czcił bóstwa, pełne okrucieństw; w każdej namiętności tkwi okrucieństwo, nawet w miłości. Religja nigdy nie ginącej wiary podobna się staje do obłąkanego kultu rozpaczy, śmierci... zniszczenia. Różnica leży w moralnej pobudce, idącej z tajemnych potrzeb i nigdy niewypowiedzianych pragnień tych, którzy wierzą. Tylko dla próżnych wszystko jest próżne i dla tych tylko wszystko jest poszukaństwem, którzy nigdy nie umieli być ze sobą szczerzy.

W tej to twierdzy spotkał się mój dziadek z sierżantem Piotrem. Dziadek był sąsiadem rodziny S., ale nie znał księcia Romana; ten zaś z nazwiska znał go dobrze, i pewnego wieczora, gdy siedzieli razem w salach, oparci na armacie, wyjawił mu kim jest, przed czem o przysługę, aby w razie jego śmierci powiadomił o tem rodziców.

Rozmawiali szeptem, gdyż reszta obsługi armaty rozłożyła się niedaleko. Dziadek mój oczywiście dał mu żądaną obietnicę i potem otwarcie zapytał, mocno zainteresowany tem odkryciem:

— Niech mi książę powie, czy ma złe przeczucia, że mnie o to prosi?

— Bynajmniej: o nich tylko myślałem, gdyż nie mają pojęcia, gdzie jestem — odpowiedział książę. — Jeśli pan chce, podejmę się to samo uczynić dla pana. Niema wątpliwości, że połowa nas zginie nim się to wszystko skończy, więc obaj mamy tyle samo danych, że jeden z nas wyjdzie cało.

Dziadek mój powiedział mu więc, gdzie się znajduje jego żona i dzieci, i odtąd trzymali się razem aż do końca oblężenia. Podczas wielkiego, ostatecznego natarcia, dziadek mój został ciężko ranny: miasto zostało opanowane, a nazajutrz poddał się zamek, wraz ze szpitalem przepełnionym umarłymi i konającymi i z pustemi składami, gdyż obrońcy wystrzelali ostatnie naboje.

Piotr podczas całej kampanji narażał się sumiennie i wyszedł bez szwanku. Nikt go nie poznał, nikt nie zdradził jego nazwiska, wszak do tej chwili poza spełnieniem obowiązku było zupełnie obojętne, kim jest.

Teraz miało być inaczej, gdyż jako były gwardzista i były oficer przyboczny cara, buntownik ten ryzykował ni mniej, ni więcej tylko kulę o dziesięć kroków. Zgórą miesiąc przesiedział w więzieniu, zmieszany z nędznym tłumem więźniów stłoczonych w kazamatach zamku, gdzie żywność ledwie wystarczała na utrzymanie ich przy życiu; nie dbano o to, że gnięto tam po czterdziestu dziennie z ran, głodu i zarazy. Do tej twierdzy, ze względu na jej centralne położenie, dostawiano coraz to nowe partje więźniów, których w celu uspokojenia kraju wylapywano wszędzie.

Między nowo przybyłymi znalazł się młody człowiek, przyjaciel księcia ze szkolnych czasów, i poznawszy go natychmiast, zakrzyknął przerażony:

— Na Boga! Romanie, ty tu?

Nieopatrzny ten wykrzyknik, jak mówią, opłacił on latami gorzkich wyrzutów sumienia. Spotkanie to miało miejsce w głównym czworoboku zamku. Zapóźno książę ruchem ręki dał znak ostrzegający, gdyż oficer żandarmów usłyszał wykrzyknik i uznał go godnym uwagi. Dochodzenie nie było trudne, gdyż książę, zapytany wprost o nazwisko, nie zataił go ani chwili. Wiadomość o odkryciu księcia S. między więźniami została posłana do Petersburga. Tam, w stolicy dającej bezpieczne schronienie magnatowi, którego syn przepadł bez wieści podczas powstania, mieszkali rodzice księcia, smutni, pełni niepokoju i niepewności. Od miesięcy całych nie mieli o nim wiadomości i nie starali się nawet zapreczać wieściom, które obiegały miasto, jakoby zaszedł tu wypadek samobójstwa z rozpaczy, boć wszyscy wspominali jeszcze ów związek z miłości i uroku pełne młode szczęście, tak okrutnie przez śmierć przerwane. Ale w sercach mieli nadzieję, że syn ich wyszedł z życiem i przeszedł pruską granicę wraz z tą czarną armji, która poddała się Prusakom.

Wiadomość o wzięciu go do niewoli uderzyła w nich jak grom. Bezpośrednio przyjść mu z pomocą nie mogli w żaden sposób, ale pośrednio mogli działać dzięki powadze nazwiska i stanowiska, jako też dzięki szerokim stosunkom i węzłom pokrewieństwa w najwyższych sferach; poruszali więc niebo i ziemię, aby uchronić syna przed, jak biedny stary książę Jan nie wahał się nazwać, następstwami jego szaleństwa.

Osoby, stojące na czele towarzystwa, poruszały wszelkie sprężyny u wielkich osobistości i wysokich dygnitarzy. Wpływowych urzędników starano się nakłonić, aby zwrócili uwagę na tę sprawę. Nie ominięto żadnego skrytego sposobu wywarcia wpływu; kilku prywatnych sekretarzy przepłacono; pewna dama, pozostająca w zażytych stosunkach z pewnym senatorem, otrzymała dużą sumę pieniędzy.

Ale żadnych otwartych kroków ani starań w tak rażąco wyraźnej sprawie nie dało się przedsięwziąć, jedynie prywatną drogą starano się nakłonić prezesa komisji wojskowej do łagodnego traktowania rzeczy. I w końcu zmiękł pod wpływem wskazówek i podszeptów, płynących z bardzo wysokich kół stolicy, — a może chodziło mu także o zdobycie wdzięczności takiej rodziny, jak książąt S. Był dobrym Rosjaninem, ale miał dobre serce, a wówczas nienawiść do Polaków nie była jeszcze dogmatem patrjotyzmu rosyjskiego, jak to się stało w jakieś trzydzieści lat później. Zmiękł odrazu na widok tego młodzieńca o wychudłej, ogorzałej twarzy, wyniszczonego trudami przebytego oblężenia, miesiącami ciężkiej walki i strasznemi warunkami więzienia.

Komisja zasiadająca w cytadeli, w pustej, sklepionej izbie, za długim czarnym stołem, składała się z trzech oficerów. Na końcach stołu znajdowało się kilku urzędników, i poza żandarmami, którzy wprowadzili księcia, nie było nikogo więcej.

Któż zgadnąć potrafi, ile w księciu Romanie było ukochania życia, tam w obliczu tych czterech ponurych ścian, które, zda się, odcinały go od wszelkiego nawet widoku i słuchu o wolności, od wszelkiej nadziei na przyszłość i innych pociechę niosących, złudzeń... gdy stanął sam jeden przed tymi, co wrogami bądąc, sądzić go mieli? Kto mógł wiedzieć, ile pozostało w nim jeszcze poczucia obowiązku, objawionego mu przez ból serdeczny? Ile nowo narodzonej miłości do kraju ojczystego? Tego kraju, który od synów swych większej żąda miłości, niż jakikolwiek inny kraj na świecie; miłości pełnej żałosnego ukochania, jakiem się kocha umarłych a niezapomnianych; niewygasającego płomienia bezinteresownej uczucia, jakie tylko żywy, tchnieniem ciepły ideał obudzić w nas może, na dumę naszą, na umęczenie, na wywyższenie nasze i upadek najniższy.

Jest coś potwornego w pomyśleniu takiego żądania, aż stanie ono przed nami pod postacią najwyższego sądu, bez bojaźni i bez skazy. Zbliżając się do momentu, który był szczytem jego życia, książę mógł tylko się spodziewać, że staje przed jego zakończeniem. Na pytania odpowiadał zwięźle i jasno... z najzupełniejszą obojętnością. Mówienie męczyło go po tylu miesiącach naprężonego czynu, ale ukrywał to starannie, aby wrogom nie przyszła nawet myśl podejrzewać go o apatję, zniechęcenie lub odrętwiałość złamanego ducha. Tak czy owak szczegóły jego zachowania nie mogły mieć znaczenia; ludzie ci wewnętrznym jego myślom byli obojętni. Ani na chwilę ton jego nie przestał być uprzejmy, mówił stojąco, nie skorzystawszy z ofiarowanego sobie krzesła.

Od oficera, który przewodniczył komisji, wiadomo co zaszło na przedwstępnem badaniu. Człowiek ów, chwytając się jedynego możliwego sposobu wyjścia z bardzo źle przedstawiającej się sprawy, starał się od pierwszej chwili naprowadzić sposób myślenia księcia na tę linję obrony, którą myślał go uratować. Poprostu zadawał pytania w ten sposób, aby odpowiedź sama kładła się w usta obwinionego; szedł tak daleko, że wprost poddawał słowa: jak to przyprowadzony do szaleństwa z żalu po stracie młodej żony, nieodpowiedzialny za swoje czyny, przez tę rozpacz, w chwili ślepej nierozwagi, nie zdając sobie sprawy z wysoce karygodnego charakteru swego czynu, ani z jego niebezpieczeństwa i niesławy... przyłączył się do najbliższych buntowników pod wpływem nagłego impulsu, a że teraz... żałując...

Ale książę Roman milczał. Oni, sędziowie wojskowi, patrzyli na niego, pewni swego. On w milczeniu sięgnął po pióro i papier i napisał: „Przyłączyłem się do powstania narodowego z przekonania".

Poczem przesunął papier na drugą stronę stołu. Przewodniczący rzucił okiem na kartkę, po kolei pokazał obydwu towarzyszom po bokach, poczem, spoglądając przenikliwie na księcia, wypuścił ją z ręki. Nikt nie przerwał milczenia, aż padł rozkaz wyprowadzenia więźnia.

Tak brzmiało credo pisemnie wyrażone przez księcia Romana w najwznioślejszej chwili jego życia. Słyszałem, że książęta S. przyjęli ostatnie dwa słowa za dewizę pisaną pod herbem na tarczy, ale nie wiem, czy tak jest naprawdę; wuj nie umiał mi tego powiedzieć, tylko zauważył, że, rzecz prosta, nie było tego na pieczęci używanej przez księcia Romana.

Skazano go na dożywotnią katorgę w podziemiach Sybiru. Car Mikołaj, którego osobiście interesowały wyroki, wydawane przeciwko polskiej arystokracji, własnoręcznie podpisał na dokumencie: „Nakazuję się władzom przestrzegać surowo, aby skazaniec ten, podobnie jak każdy zbrodniarz, szedł pieszo w kajdanach całą drogę".

Wyrok ten był skazaniem na przewlekłą śmierć, gdyż niewielu wytrzymywało to pogrzebanie za życia — i ginęli po dwu, trzech latach. Ale gdy po tym czasie doniesiono, że jeszcze żyje, pozwolono mu, na prośbę rodziców i w drodze szczególnej łaski, służyć na Kaukazie. Tam, pozostając jako prosty żołnierz, nie miał żadnych praw cywilnych. Niewolno mu było z nikim się komunikować. Jedynie cierpieć pozwolono temu pozornie tylko żyjącemu człowiekowi. Dziecina maleńka, którą tak ostrożnie ocalował przed odejściem, aby jej nie zbudzić, odziedziczyła po śmierci księcia Jana całą fortunę, i dzięki temu olbrzymie przestrzenie uniknęły konfiskaty.

Dopiero po dwudziestu pięciu latach książę Roman, złamany na ciele, głuchy zupełnie, otrzymał pozwolenie powrotu do Polski. Córka jego, zasłubiwszy wielkiego magnata z Polski austrjackiej, obracając się w kosmopolitycznem kole najwyższej arystokracji europejskiej, przebywała głównie w Nizzy i Wiedniu. On zaś rzadko ją widywał, osiadłszy w jednym z jej majątków, nie w pałacowej rezydencji, lecz w małym, skromnym domku.

Książę Roman nie zamknął się tu w ciszy, jakby po spełnionej pracy. Nie było rzeczy dziejącej się w prywatnem czy publicznem życiu okolicy, w którejby nie zasięgano rady księcia lub nie proszono go o pomoc, i nigdy napróżno. Słusznie mówiono, że życie jego nie do niego należało, a do współobywateli. Szczególnie bliski czuł się wszystkich powracających z wygnania, wspierając ich radą i pieniędzmi, załatwiając ich sprawy i dając im możność bytowania.

Wuj dużo mi opowiadał o jego działalności pełnej poświęcenia, w której drogowskazem był mu rozum prosty, wysokie poczucie honoru i najdelikatniejsze zrozumienie osobistej i publicznej uczciwości. Dla mnie pozostanie on zawsze żywą postacią, dzięki spotkaniu w bilardowym pokoju, kiedy to przez ciekawość usłyszenia historji o najbardziej wilczym wilku, zetknąłem się na chwilę z człowiekiem ze wszystkich ludzi najbardziej zdolnym do niezachwianej wiary, do przemożnej siły uczuć i miłości bez granic.

Pamiętam do dziś dnia, jak jego koścista, pomarszczona dłoń zamknęła się na mojej atramentem poplamionej ręce, i jak wuj mój patrzał pół gniewnie, pół śmiejąco na występnego sistrzeńca, poczem poszli dalej i zapomnieli o małym chłopcu.

Ja nie ruszyłem się z miejsca, spoglądałem za nimi nietyle rozczarowany, co zmieszany ukazaniem się tego księcia, który tak nieskończenie różnił się od moich książąt z bajki. Gdy doszli do drzwi, zatrzymali się, i książę rzekł — tak jakbym go dziś słyszał:

— Chciałbym bardzo, byś napisał do Wiednia o oddanie mu tej posady. On w zupełności na to zasługuje, a twoje polecenie zadecyduje o wszystkiem.

Wściałem na twarzy wuja, zwróconej ku niemu, wyraz zdumienia, jakby wyraźnie mówił: chyba ojcowskie polecenie jest ważniejsze. Książę umiał błyskawicznie szybko czytać w twarzy, to też zaraz powiedział tym głuchym głosem, jakim mówi człowiek, który od lat nie słyszał swego głosu i dla którego świat bez dźwięku jest jakby siedzibą niemych cieni.

— Proszę cię o to, bo widzisz, moja córka i zięć nie wierzą, abym był dobrym znawcą ludzi. Oni uważają, że daję się zanadto powodować uczuciem.

Polska zagranicą

— Marcowy zeszyt „Le Monde Nouveau" przynosi listę książek, zaleconych przez komisję polską Międzynarodowego Instytutu Współpracy Intelektualnej. Są tu wymienione: „Ucieką mi przepióreczka" Żeromskiego, „Obok życia" Ostrowskiego, „Poezje" Dębickiego, „Pątnik Karapeta" Goetla, „Stanisław Moniuszko" Opieńskiego, „Historja literatury polskiej" Brückneria, „Szekspir" Pińńskiego, „Dzieje wojskowości w Polsce" Korzona, „Ostatni szlachcic" Grabca, „Z odległej i bliskiej przeszłości" Bujaka, „Pisma" Abramowskiego, „Dzieła" Smoluchowskiego (przez omyłkę w dziale... muzyki). Lista za r. 1923 obejmuje prace Dobrowolskiego, Kucharzewskiego, Godlewskiego, Grabskiego, Rutkowskiego i Sierpińskiego.

— W bieżącym semestrze letnim na uniwersytetach niemieckich ogłoszone zostały następujące wykłady o literaturze polskiej. W Hamburgu p. Reybekiel będzie wykładał w języku polskim o współczesnym dramacie polskim, w Królewcu p. Rost wygłosi kurs historji literatury polskiej od r. 1760 aż do końca romantyzmu, w Halle p. Kunowski będzie mówił o utworach nowoczesnych poetów polskich.

— Z powodu odczytu prof. Pollaka „Stampa" turyńska z dn. 26 marca b. r. umieszcza artykuł p. t. „L'italianità nella coltura polacca".

— Lutowy zeszyt „L'Europa Orientale" przynosi dokończenie artykułu Ettore Lo Gatto o przyjaźni Puszkina i Mickiewicza. W „Kronice prawosławia Europy Wschodniej", prowadzonej przez prof. Aurelia Palmieri, znajdujemy bardzo życzliwą ocenę stosunku rządu polskiego do kościoła prawosławnego w Polsce. Prof. Palmieri broni przy sposobności decyzji zniesienia soboru na pl. Saskim. W „Wiadomościach kulturalnych" mamy obszerną recenzję Gemmy Schiesari z książki Płaśnika „Kultura włoska wieków średnich w Polsce".

— Kwietniowy zeszyt „Il Libri del Giorno" omawia publikację Marji Bersano Begey „Lo spirito e l'azione. Di Andrea Towianski. Pagine scelte".

— W dalszym ciągu swego studjum p. t. „Les muses romantiques", umieszczonym w „La Revue Hebdomadaire" z dn. 27 marca b. r., Marceli Bouteron daje charakterystykę stosunku pani Hańskiej do Balzaka, utrzymaną w tonie apologetycznym.

— Dr. Otto Forst de Battaglia ogłosił w „Literarische Wochenschrift" z dn. 20 lutego b. r. entuzjastyczną ocenę „Przedwiośnia", a w „Germanii" z dn. 30 marca b. r. obszerne sprawozdanie z poznańskiego zjazdu historyków.

— W tegorocznej międzynarodowej wystawie sztuki, urządzonej przez „Carnegie Institute" w Pittsburgu, która po kolei objeżdża główne miasta Stanów Zjednoczonych, bierze udział szereg malarzy polskich. Przeważają krajobrazy Borowskiego, Czaykowskiego, Filipkiewicza, Jarockiego, Pautscha, Podgórskiego i Pruszkowskiego. Portret i kompozycję figuralną reprezentuje Boznańska, Czedekowski, Mela Muter i Weiss.

Notatki

Akademja grecka. Rząd grecki postanowił stworzyć „Akademję Helleńską", złożoną z 32 członków. Prace naukowości warto zanotować, że akademja włoska będzie nosiła nazwę „Uniwersytetu Głównego".

Rumuńska nagroda literacka. Nagrodę rumuńskiego związku literatów za najlepszą powieść ub. r. otrzymał Liviu Rebreanu za utwór p. t. „Adam i Ewa". Jest to część większej całości, w której autor zamierza przedstawić społeczeństwo współczesne.

Urząd nadwornego poety. Ciekawą instytucją angielską jest „Poete Laureate". Jest to urząd istniejący od setek lat, zajmowany przez poetę, którego zadaniem jest pisanie wierszy w momentach uroczystych (narodziny następcy tronu, wielkie zwycięstwa i t. p.). O wierszach tych nikt nic nie wie. Z wyjątkiem Tennysona, ulubieńca królowej Wiktorji, wszyscy poeci - laureaci należą do zupełnych miernot, do tego stopnia, że kiedy obecny dostojnik poezji ogłosił tom wierszy, krytyka wyraziła zdziwienie z powodu ich znośnego poziomu! Z urzędem poety-laureata związana jest maleńka, ale dożywotnia pensja.

Ulica im. Péguy w Paryżu. Magistrat paryski uchwalił nazwać jedną z ulic dzielnicy Montparnasse imieniem poległego w r. 1914 poety Karola Péguy.

Salon literacki pani de Caillavet. Książka pani J. Maurice-Pouquet o salonie pani de Arman de Caillavet daje szereg ciekawych przyczynków do towarzyskiej historji literatury francuskiej końca XIX w. Salon pani Caillavet, istniejący do r. 1909, był pięknem ogniwem w łańcuchu, który od pani du Deffand i panny de Lespinasse poprzez panią Récamier ciągnął się do księżnej Matyldy i pani Aubernon de Nerville. Co tydzień zbierali się w gościnnych salonach pani de Caillavet literaci, poeci, mężowie stanu, piękne kobiety. Koroną zebrań był, rzecz prosta, Anatol France.

Malowane książki. W kwietniowym zeszycie „Il Libri del Giorno" znajdujemy artykulik, poświęcony książkom... malowanym. Okazuje się, że Rafael w samych „loggiach" watykańskich namalował wyraźnie pięćdziesiąt książek. Artykuł zwraca uwagę, że książki, malowane przez Michała Anioła (sufit sykstyński), mają swoją bardzo indywidualną fizjognomję i zdradzają częste czytanie: rogi są pozaginane i poczerniałe od częstego przewracania kart.

Portrety św. Teresy. Wzrastającą popularność niedawno kanonizowanej św. Teresy z Lisieux dała powód do procesu pomiędzy rodziną świętej a niektórymi firmami wydawnictw dewocyjnych o prawo reprodukcji i autentyczność portretów św. Teresy. Jest to jedyna, zdaje się, święta, której podobizny opierają się na autentycznej fotografji.

Chronologja wojny trojańskiej. Profesorowi uniwersytetu w Heidelbergu, dr. Schochowi, udało się na podstawie badań nad zaćmieniem słońca, opisywanem przez Homera w „Odyssei", ustanowić chronologję wojny trojańskiej. Punktem wyjścia badań posłużył fakt, że w dniu zabójstwa gachów Penelopy przez Odyssa wojska Itaka przechodziła zupełne zaćmienie słońca. Podług Schocha wojna trojańska odbywała się pomiędzy r. 1197—1187 przed narodzeniem Chrystusa, podróże Odyssa przez dziesięć lat następnych, przybycie na Itakę — 12 kwietnia 1177 r., zabójstwo gachów — 16 kwietnia t. r. pomiędzy g. 6—8½ rano!

Dzieje literatury erotycznej". U Püttmanna w Stuttgarcie ukazał się pierwszy zeszyt dzieła p. n. „Geschichte der erotischen Literatur".

Dziewica Orleańska w literaturze. Czasopismo „Les Cahiers Orléanais" zwróciło się do wszystkich pisarzy, w których dziełach występuje temat Joanny d'Arc, z trzema następującemi pytaniami: 1) dlaczego pan pisał o Joannie d'Arc? 2) jakie są w przekonaniu pana zasadnicze rysy bohaterki? 3) jaki utwór o Joannie najlepiej pan ceni i dlaczego? Prócz tego „Les Cahiers Orléanais" zapytują swoich czytelników, które z dzieł o Joannie wydaje się im najpiękniejsze i najprawdziwsze.

Dwadzieścia tysięcy dolarów za tom Szekspira. Znany kolekcjoner filadelfijski Rosenbach, który zakupił w Anglji starych książek w sumie za pięć miljonów dolarów, zapłacił ostatnio za dwa tomy Szekspira z r. 1604 — 20.000 dolarów. — Inny zbieracz nabył rękopis pierwszych wierszy Miltona za 36.000 dolarów.

Tajny pamiętnik Tołstoja. Dn. 10 marca b. r. w ścisłem gronie zaproszonych osób wybitny badacz twórczości Tołstoja, W. F. Bułhakow, odczytał jego nieopublikowany dziennik intymny, dotyczący ostatnie miesięcy przed odjazdem z Jasnej Polany. Tołstoj prowadził z jednej strony pamiętnik oficjalny, z drugiej — zmuszony do tego warunkami rodzinnemi — dziennik nieoficjalny, który musiał ukrywać po różnych zakamarkach, aby nie dostał się w niepowołane ręce. Raz nawet odnaleziono kajet z temi notatkami, i Tołstoj musiał zaprowadzić nowy.

Biografja Joyce'a. W Londynie ukazała się pierwsza biografja Jamesa Joyce'a p. t. „Pierwsze czterdzieści lat życia Joyce'a". Książka zawiera 238 stronic i przepełniona jest entuzjazmem dla twórcy „Ulyssesa", prawie nieznanego w Anglji, a budzącego mnóstwo ech poza jej granicami.

Dramat Joyce'a. „Stage Society" wystawiło dramat Joyce'a „The Exiles", poruszający problemat irlandzki.

Działalność dramatopisarska Chesterton. Przeróbka sceniczna „Człowieka, który był Czwartkiem" nie spotkała się w Londynie z powodzeniem. O inscenizacji moskiewskiej Chesterton miał się wyrazić: „Rosjanie nie potrafią żartować na temat rzeczy, w które wierzą, i dlatego źle zrozumieli moją książkę". Chesterton ukończył niedawno dramat p. t. „Dr. Johnson".

Nowa książka Wellsa. Ukazała się nowa dwutomowa powieść Wellsa p. t. „The Thoughts of Mr. Cressault". Są to uwagi na temat świata i życia, wypowiedziane przez pana Cressault, który wycofuje się z rozgwaru wielkomiejskiego na wieś i tam snuje swoje rozważania.

Powieść Stracheya. St. L. Strachey, autor znanej biografji królowej Wiktorji, napisał powieść p. t. „The Madonna of the Barricades" na temat rewolucji francuskiej 1848 r.

Nowa powieść Maurois. W ostatnim „Nouvelle Revue Française" ukazała się nowa powieść Andrzeja Maurois p. t. „Bernard Quesnay".

Nowy utwór Abel Hermanta. „La Revue de France" w numerze z dn. 1 kwietnia b. r. rozpoczęła druk utworu Abel Hermanta p. t. „L'exode".

Płodni pisarze hiszpańscy. Hiszpanie byli zawsze najpłodniejszymi pisarzami. Calderon i Lope de Vega setkami liczyli swoje komedje. W ich ślady podążają współcześni powieściopisarze. Blasco Ibanez rozpoczął szereg powieści historycznych romansem świeżo ogłoszonym p. t. „Il papa del mar", który poświęcony jest Don Pedrowi di Luna, znanemu jako antypapież Benedykt XIII. Ramon Gomez de la Serna ogłosił w Walencji 69 tom swoich dzieł, zatytułowany „El novelista".

Nowy utwór Henryka Manna. U Zsolnaya w Wiedniu ukazała się dłuższa nowela Henryka Manna p. t. „Liliane und Paul".

Nowa powieść Matyldy Serao. Matylda Serao ogłosiła powieść „Mors tua...", poświęconą matkom synów walczących za ojczyznę.

Zdrowie d'Annunzia. Dzienniki europejskie piszą ostatnio o niepokojącym stanie nerwów i równowagi umysłowej u d'Annunzia.

Pisarz sowiecki oskarżony o pornografję. Pisarz rosyjski nazwiskiem Wołżskij użył w jednym ze swych utworów czterech wyrazów obrażających moralność publiczną. Z tego powodu dziennik urzędowy „Prawda" zarzucił mu uprawianie pornografji. Wołżskij zwołał sąd honorowy, przed którym udowadniał, że przedewszystkiem nie jest wyjątkiem, gdyż najwybitniejsi pisarze rosyjscy, jak np. Pilniak, mogliby być o to samo oskarżeni, a po drugie, że... chciał przedstawić stary porządek w jak najgorszem świetle. Sąd orzekł, że dzieła Wołżskiego nie zawierają, głębiej rzecz biorąc, pierwiastków pornograficznych, ale zalecił mu jednocześnie powstrzymanie się na przyszłość od zbyt ordynarnych zwrotów.

Dramat o Jesieninie. Dwaj pisarze rosyjscy, Oleg Leonidow i Riurik Iwniew, ukończyli dramat p. t. „Jesienin". Utwór ten przedstawia życie poety od młodości do samobójstwa.

Sztuka o Petlurze. Moskiewski Teatr Artystyczny przygotowuje sztukę M. Bułhakowa p. t. „Biała gwardja", osnutą na wypadkach z epoki Petlury. Rolę hetmana grać będzie Kaczałow.

O Azji. Szósty zeszyt pisma „Bücherwurm" poświęcony jest Azji.

„Myśl" rumuńska. Od stycznia wznowiono wydawnictwo przeglądu rumuńskiego p. t. „Gandirea" („Myśl").

Teatr

— Cenzura angielska zabroniła wystawienia „Sześciu postaci w poszukiwaniu autora" Pirandella (przedstawienia tej sztuki w języku włoskim są dopuszczane) i ostatniej sztuki O'Neilla „Desire under the Etms".

— Znakomity aktor francuski Silvain zagrał kilka scen z „Tartufe'a" w jednym z music-hallów paryskich; ten śmiały występ starego artysty w środowisku tancerzy na drucie i tresowanych koni spotkał się z entuzjastycznem przyjęciem publiczności.

— O testamencie Eleonory Duse dowiadujemy się z agencji Central-News w New - Yorku. Okazuje się, że wielka aktorka pozostawiła tylko osiem tysięcy funtów szterlingów. Spadkobierczynią generalną jest córka Henryka, żona prof. uniwersytetu w Cambridge. E. Bullough. „Morning Post", komentując treść testamentu, przypomina, że wielką artystkę zrujnowała wojna. Szczodra i wspaniałomyślna, rozdawała ludziom dużo pieniędzy, a większą część swoich oszczędności ulokowała w Niemczech i oczywiście wyszła na tej lokacie jak najfatalniej.

— Także i w Hiszpanji daje się odczuwać ciężki kryzys teatralny. Carlo Soliurilla w piśmie „Nosotros" mówi, że dyrektorzy teatrów w Madrycie i Barcelonie są niesłychanie zadowoleni gdy mają zapełnioną połowę sali.

Plastyka

— Na Uralu odnaleziono obraz Rafaela „Madonna del popolo", od dawna uznany za zaginiony. W w. XIX znajdował się on w fabryce Demidowych w Niżnim-Tagilu. Był tam najprawdopodobniej przewieziony w r. 1840 przez faworytę Mikołaja I, Demidową, która za niewierność została skazana na dożywotnie wygnanie.

— Luwr zakupił „Wskrzeszenie Łazarza", obraz przypisywany Fromentowi, za półtora miljona franków. Obraz poprzednio znajdował się w posiadaniu miljonera austrjackiego Castiglione.

— Ostatnio sprzedano w Londynie 237 obrazów niedawno zmarłego Sargenta. Za pierwszą serję, złożoną z 78 obrazów, zapłacono 53.000 funtów, akwarela, zatytułowana „Szkic kanału w Wenecji", osiągnęła 4.600 gwinei. Należy dodać, że Sargent zmarł w bardzo ciężkich warunkach materjalnych.

— Obrazy Cézanne'a osiągają ostatnio bardzo wysokie ceny. Pewne płótno, za które przed dwudziestu laty nikt nie chciał dać 500, oszacowane zostało niedawno na 800.000 franków.

— Dozorca muzeum w Neapolu rozbił, przez zemstę na władzę przełożoną, wspaniałe rzeźbiony puhar farnezyjski z onyksu, jedno z najcenniejszych arcydzieł sztuki starożytnej.

— W Dumanga pod Turynem zmarł Wincenty Perugia, człowiek, który ukradł swego czasu „Giocondę".

Anegdoty

W notatkach Aleksandra Dumas (syna) figuruje następująca anegdota.

Gdy nazajutrz po bitwie pod Austerlitz Napoleon przybył do Schönbrunn, wyczytał w „Monitorze" piękną odę, w patetycznych i pełnych gorącego entuzjazmu zwrotach sławiącą jego zwycięstwo. Utwór ten zachwycił publiczność i zyskał liczne pochwały dla maestrji autora; nie dziwiono się wszakże jego zaletom, gdyż podpisany był nazwiskiem Lebrun; otóż w owym czasie niepodobna było przypuścić, aby twórcą wspaniałej ody, podpisanej Lebrun, mógł być ktokolwiek inny jak Ecouchard Lebrun, jedyny, prawdziwy, znakomity Lebrun, Pindarem przezwany. Co wydawało się nieco dziwne — to wybranie przezeń takiego tematu: czyżby Lebrun - Pindar, poeta rewolucyjny, piewca „Mściciela", stanął teraz po stronie cesarstwa?

Zachwycony poematem Napoleon rozkazał natychmiast oznajmić p. Ecouchard Lebrun, że zostaje mu nadana dożywotnia renta w wysokości 6.000 fr.

Wówczas dopiero okazało się, że Lebrun - Pindar nie miał absolutnie nic wspólnego z ową odą, która była utworem dwudziestoletniego studenta, noszącego to samo nazwisko. Dowiedziawszy się o tem, Napoleon pierwszy roześmiał się.

— W takim razie, — zadecydował, — nadaję dwie renty: stary poeta będzie otrzymywał swoje 6.000 fr., a młody — 1.200.

*

Pewnego wieczoru Wiktor Hugo jadł kolację nad brzegiem jeziora w Enghien z niejaką Julją Drouet. W swojej serwetce znalazł następujący dokument: „Zaświadczam niniejszem, że otrzymałam od p. Wiktora Hugo wiele miłości, przyjaźni i zobowiązuję się wypłacić mu je natychmiast. Julja Drouet".

Karteczka ta zachowała się w papierach pośmiertnych wielkiego pisarza.

*

Henryk Marcel, jako dyrektor departamentu sztuki, miał wygłosić mowę w imieniu rządu na odsłonięciu pomnika malarza Gavarni. Mowa rozpoczęła się od następujących słów: „Moi panowie. Gdyby Gavarni, zamiast w kamieniu na tej kolumnie, — znajdował się tutaj żywy, — jakąż wspaniałą i komiczną zrobiłby z nas karykaturę..." Potężny wybuch śmiechu powitał ten wstęp niefortunnego mówcy — i powtarzał się raz po raz w czasie oracji, obfitującej w inne jeszcze „dowcipy" podobnego rodzaju.

*

Początkująca śpiewaczka wykonywała na koncercie wielką arję Manon w obecności kompozytora, Masseneta. Po ukończeniu jej podbiegła wzburzona do autora: „Drżałam, mistrzu, wiedząc, że pan jest. Musiał pan mieć na początku porządnego stracha..." Na to Massenet spokojnie: „Nie, drogie dziecko, ani na początku, ani w środku, ani na końcu. Zatknąłem sobie uszy".

Joseph Conrad

przekład *Teresy Sapieżyny*

Książę Roman

— Wypadki z przed siedemdziesięciu lat są może zanadto odległe, aby je wciągać do zwykłej rozmowy. Każdemu wiadomo, że r. 1831 jest dla nas datą historyczną: jednem z tych lat nieszczęsnych, kiedy w obliczu krasomówczych oznak sympatji i biernego oburzenia całego świata przyszło nam po raz wtóry zawołać „Vae victis!" i w smutku obliczać swoje straty. Nigdy nie ukimiliśmy rachować, ani w szczęściu ani w nieszczęściu; nie potrafiliśmy nigdy przyswoić sobie tej umiejętności ku wielkiemu rozjątrzeniu naszych wrogów, za co też obdarzyli nas przydomkiem niepoprawnych.

Mówiący te słowa był polskiej narodowości; należał do tego narodu, który, pozbawiony życia, w grobie trwa dalej żywą myślą, tchnieniem, słowem, nadzieją i męką... wepchniętY tam tysiącem bagnetów i przypieczętowany potrójną pieczęcią trzech potężnych mocarstw.

Rozmowa toczyła się o arystokracji. Czemu się nam nawinął ten właśnie przedmiot, tak dziś niekorzystnie się przedstawiający? Było to już dosyć dawno, i dokładnie sobie nie przypominam, ale to pamiętam, że arystokracja nie była uważana za konieczną część składową społeczeństwa. Zdaje mi się, żeśmy zeszli na ten temat po wymianie zdań o patrjotyzmie, uczuciu poniekąd też zdyskredytowanem, gdyż wrażliwość naszych wyznawców humanitaryzmu uważa je za pozostałość z czasów barbarzyńskich. A jednak nie byli barbarzyńcami ani wielki malarz Florentyńczyk, któremu myśl o rodzinnem mieście świeciła jasno do grobu; nie był również barbarzyńcą św. Franciszek, który ostatniem swem tchnieniem słał błogosławieństwo ojczystemu Assyżowi. Aby należycie ocenić patrjotyzm, potrzeba koniecznie pewnej wyższości duchowej albo szczerości uczuć, co odmówione zostało pospolitemu wyrafinowaniu nowoczesnej myśli, która ogarnąć nie może dostojnej prostoty uczucia, płynącego z samej natury rzeczy i człowieka.

Arystokracja, o której mówiliśmy, zaliczała się do najwyższej w Europie i do najwyższych w niej rodów; nie podupadła ani zubożała, nie przeistoczona ani wyzwolenicza, ale najbardziej wyróżniająca się i wyłączna warstwa ze wszystkich warstw, dla której nawet ambicja sama w sobie nie istnieje wśród innych pobudek i drogowskazów w życiu. Kiedy niezaprzeczone prawo przewodzenia przestało być ich udziałem, sądziliśmy, że w czasach politycznych czy narodowych przewrotów muszą im utrudnić stanowisko ich wielkie fortuny, ich kosmopolityzm, wypływający z szerokich koligacyj, i wywyższone stanowisko, przedstawiające tak mało do zyskania a tak wiele do stracenia. Skoro nie ma już możności rozkazywania, co stanowi istotę arystokracji, nie pozostaje jej nic innego, jak trzymać się zdala od wielkich wybuchów namiętności tłumów.

Doszliśmy do tego wniosku właśnie w chwili, gdy uczyniono wzmiankę o dawnych dziejach i o r. 1831, poczem mówca mówił dalej:

— Osobiście nie znałem wówczas księcia Romana; pamięć moja nie sięga owych czasów; choć zaczynam już odczuwać ciężar wieku, ale tak stary jeszcze nie jestem. Książę Roman ożenił się w roku urodzin mego ojca, t. zn. w r. 1828. Nie potrafię powiedzieć, ile miał lat, ale miał ich mniej niż nowo rozpoczęte dziewiętnaste stulecie, gdy wstępował w ten zewszechmiar świetny związek małżeński, bo brał osieroconą jedynaczkę, pannę młodziutką cudnej urody, która mu jako wiano wnosiła świetne nazwisko i wielką fortunę. Książe, wyróżniający się od reszty kolegów niezwykle myślącą i poważną naturą, był wtedy oficerem gwardji cesarskiej i zakochał się bez pamięci w tej ślicznej, o wielkiem sercu, istocie. Nie odznaczał się wielomównością; ale spojrzeniami, zachowaniem i całym sobą mówił wybranej kobiecie o swem bezgranicznem uwielbieniu, które ona oddawała mu w cudownie szczery i uroczy sposób.

Zdawało się, że płomień tego czystego, młodzieńczego kochania płonąć będzie wiecznie; przez jeden sezon zimowy zdołał on rozgrzać nawet cyniczną atmosferę wielkiego świata petersburskiego. Sam cesarz Mikołaj, dziad dzisiejszego cara, ten, którego zabiła wojna krymska i ostatni może mistycznie się z woli Bożej mieniący monarcha, zainteresował się parą zaślubionych kochanków. Wypływało to stąd, że rzeczywiście Michał zwracał pilną uwagę na każdy krok wielkich panów polskich. Tych dwoje, obracając się w wielkim świecie, poza sobą świata Bożego nie widziało; bezwzględna szczerość takiego uczucia, poruszającego się swobodnie pośród targowiska sztucznych, niespokojnych i wymyślnych wichrzeń, musiała nawet w tem towarzystwie wywołać dobrotliwe pobłażanie i sympatję.

Ślub ten w r. 1828 był wypadkiem dnia w stolicy. W równo czterdzieści lat potem znalazłem się u mego wuja na wsi, w naszych południowych prowincjach.

Była głucha zima. Wielki gazon przed domem stał się jedną, nieskalanie czystą płachtą śniegu, podobnie jak się to często dzieje w Alpach, a puszysta jego równia, jakrząca się niby rozsianą tu kurzawą djamentów, chyliła się w ał dół do stawu. Ten podłużny kawał wody odbijał w swej zmarzniętej powierzchni blękit nieba i twardością swej grubej warstwy lodu zdawał się urągać puszystej od śniegu ziemi. Zimno błyszczące słońce sunęło nisko nad falistym, w śniegi spowitym widnokręgiem, w którego białych zwałach kryły się wsie ukraińskie, podobne gromadom łodzi rybackich, widnych wśród przewałań bałwanów. A wszystko ogarnięte było wielką ciszą.

Nie pamiętam jakim cudem potrafiłem o jedenastej rano wyrwać się ze szkolnego pokoju. Miałem osiem lat; moja dotieczna siostrzyczka, o parę miesięcy młodsza ode mnie, chociaż żywsza z natury, była jednak mniej awanturniczego usposobienia; puściłem się więc sam i po chwili znalazłem się w olbrzymim przedpokoju o kamiennej posadzce, ogrzewanym przez wielki, biały kaflowy piec; miejscowość ta wydawała się o niebo cieplejsza niż pokój szkolny, który — w niem już z jakiego powodu, chyba dla względów higjeny, — utrzymywano w niskiej temperaturze.

My, dzieci, wiedzieliśmy, że w domu przebywa gość, który przyjechał dnia poprzedniego wieczorem, właśnie kiedy nas układano do snu. Pomimo zakazu rzuciliśmy się do okien, spłaszczając nosy o szybę; lecz było już za późno, i nie zobaczyliśmy go wysiadającego. Zato w krasnym kręgu jaskrawego światła przewinęło się przed nami olbrzymia na saniach landara, w sześć koni zaprzężona, jak ciemna masa na tle śniegu sunąca ku stajniom, a przed nią jechał na koniu chłopak, wioząc uwieszony na długim kiju kosz żelazny z płonącemi pakułami i żywicą. Tego samego dnia po południu wysłano dwóch chłopców stajennych na zaśnieżone drogi, aby spodziewanemu o zmroku gościowi oświetlać przejazd. Nie trzeba zapominać, że wtedy w naszych południowych dzielnicach koleje wogóle nie istniały. My, dzieci, znaliśmy je tylko z książek z obrazkami, jako coś nieokreślonego, bardzo a bardzo odległego, a interesującego chyba tylko starszych, wyjeżdżających w obce kraje.

Co zaś do naszego pojęcia o legendarnych książętach, było ono może bardziej ścisłe, ale czysto literackie, otoczone nimbem opowiadań z bajek, gdzie zawsze występuje książę, — młody, piękny, bohaterski i promieniejący szczęściem. Pomimo to i my wiedzieliśmy, gdzie kończy się bajka a zaczyna się życie, i wiedzieliśmy, że książęta są osobami historycznemi. W tej świadomości tkwił też pewien czar. Lecz nie dlatego ostrożnie krążyłem po domu jak zbieg z więzienia; gnała mnie nadzieja spotkania wielkiego mego przyjaciela — nadleśniczego, który o tej porze zwykle przybywał z raportem. Od niego chciałem usłyszeć wiadomość o pewnym wilku. Bo w krajach, gdzie są wilki, prawie każda zima daje możność jednemu znakomitemu osobnikowi okrążyć się sławą, dzięki większemu zuchwalstwu jego zbrodni lub, że tak powiem, jego wilczej indywidualności. Pragnąłem więc usłyszeć jakąś wstrząsającą o tym wilku opowieść, choćby tragiczny opis jego śmierci.

Ale w sieni nie było nikogo. Zawiedziony w nadziejach, uczułem nagły żal. Nie chcąc wracać sromotnie do przerwanych lekcyj, wolałem bezcelowo i bezmyślnie przejść do sali bilardowej. I tu też nie było nikogo, to też uczułem się bardzo sam i opuszczony pod jej wysokiem sklepieniem, sam na sam z masywnym angielskim bilardem, którego ciężka, prostolinijna masa zdawała się milcząco ganić nieproszone wtargnięcie małego chłopca. Już zacząłem myśleć o wycofaniu się stąd, gdy usłyszałem kroki w sąsiednim pokoju, i nim zdążyłem zabrać się do ucieczki, we drzwiach stanęli wuj mój i gość nasz. Uciec, gdy mnie już zobaczono, byłoby nieprzyzwoitością, dotrzymałem więc placu. Wuj okazał zdziwienie na mój widok. Gość przy jego boku był człowiekiem smukłym, średniego wzrostu, którego żołnierską, sztywną postać opinał czarny surdut. Z fałdów miękkiego, białego muślinowego krawatu wychylały się przy gładko ogolonych policzkach końce sterczącego kołnierzyka, a łysinę zakrywało kilka gładko zaczesanych szpakowatych kosmyków. Twarz jego musiała być zamłodu bardzo piękna i mimo wieku zachowała harmonijną prostotę rysów. Uderzyła mnie przedewszystkiem jej trupia prawie bladość, i wydał mi się strasznie stary, gdy ledwie widocznym uśmiechem — jakby cień przeszedł po cienkich skamieniałych ustach — przywitał moje zmieszanie i rumieniec. Ciekawość moja wzrosła, gdy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni surduta ołówek i bloczek, który podał memu wujowi z ledwie dostrzegalnem uchyleniem głowy.

Co mnie tak zadziwiło, zostało przez wuja przyjęte jako rzecz zupełnie naturalna. Napisał coś na kartce bloku, co tamten przeczytał i pokiwawszy głową, chudą, pomarszczoną dłonią, dużo starszą od twarzy, poglądził mnie po twarzy i położył mi ją na głowie. Patrząc na mnie dobrotliwie ciemnemi, cichemi oczami, zapytał głosem bezdźwięcznym i równie jak twarz bezbarwnym, co szedł z między warg zapadłych:

— A ileż sobie latek liczy ten nieśmiały chłopaczek?

Nim zdołałem odpowiedzieć, wuj mój napisał mój wiek na bloczku. Czułem się bardzo przejęty. Cóż to za ceremonje? Czyż był za wielki ten człowiek, aby do niego przemawiano? Znów rzucił okiem na papier, kiwnął głową, i znów dał się słyszeć ów mechaniczny, bezosobowy głos:

— Podobny jest do swego dziadka.

Pamiętałem mego dziadka ze strony ojca; on również był zadziwiająco stary, i zaraz wydało mi się zupełnie naturalne, że ci dwaj tak wiekowi i czcigodni panowie znali się w zamierzchłych czasach, gdzieś między stworzeniem świata a mojem urodzeniem. Ale wuj mój widocznie nie był tak dobrze poinformowany, gdyż mechaniczny głos musiał go pouczyć:

— Tak! tak! Towarzyszami byliśmy w trzydziestym pierwszym roku. On był z tych, co wiedzieli. Dawne dzieje, panie kochany! dawne dzieje...

Tu wykonał ruch ręką jakby chciał odegnać naprzykrzone widziadło, poczem obaj zaczęli na mnie patrzeć z góry, tak iż zacząłem myśleć, że spodziewają się czegoś ode mnie. Na nieme zapytanie mych zdziwionych oczu odpowiedział mu wujaszek, mówiąc: „On jest głuchy jak kamień", a ów niewypowiedzianie bezwyrazisty głos rzekł:

— Daj mi rękę.

Przeszyła mnie ostra świadomość posiadania mocno atramentem poplamionych palców, mimo to wyciągnąłem dłoń nieśmiało, bo przerażała mnie nigdy przedtem nie widziana głuchota. Uścisnął mi mocno rękę i w końcu pokłepał po głowie, a wuj objaśnił mnie poważnie:

— Nie zapomnij nigdy w życiu, żeś uścisnął dłoń księcia Romana S.

Ton i sposób, w jaki to powiedział, zrobiły na mnie wrażenie. Natyle już znałem historję, aby wiedzieć, że książęta S. zaliczali się do panujących rodzin książęcych na Rusi, aż do chwili unji Rusi z Polską, poczem gdzieś w początkach XV w. stali się polskimi magnatami. Ale najbardziej obeszło mnie rozwianie czaru bajki świetlanej. Cóż za rozpacz spotkać prawdziwego księcia, głuchego, łysego, chudego i tak strasznie starego! Nawet mi przez myśl nie przeszło, że człowiek, sprawiający mi tak bolesny zawód, mógł być dawniej młody, bogaty i piękny. Nie mogłem wiedzieć, że był niegdyś niewypowiedzianie szczęśliwy w idealnym związku, łączącym dwa młode serca, dwa znakomite rody i dwie wielkie fortuny; że szczęście to, tak jak w bajce, powinno było trwać zawsze...

Lecz nie potrwało ono długo, nawet według miary przepisanego ludziom życia na tej ziemi, gdzie trwałe szczęście znajduje się jeno w zakończeniach bajkowych powieści. Urodziła im się córeczka, i wnet potem młodziuchna księżna zaczęła zapadać na zdrowiu. Z początku znosiła to z niewzruszonym uśmiechem, bo dwojgu już teraz istotom żyje jej było potrzebne. Ale potem małżonek, zatrwożony wyraźną zmianą jej wyglądu, wyjednawszy bezterminowy urlop, wywiózł ją daleko od stolicy, do ziemi rodziców.

Starzy księstwo przerazili się stanem zdrowia ukochanej synowej. Zaczęto natychmiast robić przygotowania do wyjazdu zagranicę. Ale już wtedy zdawało się być za późno, i sama chora z łagodnym uporem przeciwstawiała się temu. Blednąca i schudzona, w olbrzymim fotelu, stawała się coraz drobniejsza i słabsza pod wpływem zdradliwej i nieznanej choroby nerwowej, lecz z niegasnącym uśmiechem jasnych oczu i niezmiennym wdziękiem niszczejącej twarzyczki nie dawała się oderwać od ojczystej ziemi, pragnąc oddychać ojczystem powietrzem. Bo nigdzie nie spodziewała się tak szybko wyzdrowieć i nigdzie nie przyszłoby jej tak lekko umierać.

Zgasła w niespełna dwa lata po urodzeniu dziecinY. Rozpacz męża była straszliwa i tem bardziej zastraszająca dla starych rodziców, że bez łez i bez słów. Po pogrzebie, gdy olbrzymi tłum chłopów, otaczających z odkrytą głową kaplicę pałacową, zaczął się rozchodzić, książę dał znak najbliższym, aby odeszli, i pozostał sam, aby patrzeć jak dworscy murarze zamykali rodzinny grobowiec. A gdy ostatni kamień włożono na miejsce, wydarł mu się z piersi głuchy jęk, pierwszy odgłos bólu, jaki od tych kilku dni wydały jego usta, a odszedłszy z tego miejsca z głową na piersi pochyloną, zamknął się w swych komnatach.

Ojciec i matka bali się, aby mu się rozum nie pomieszał, tak spokój zewnętrzny syna napełniał ich niepokojem. Pokładali nadzieję jedynie w jego wielkiej młodości, z której wypływało zamknięte w sobie napięcie boleści. Stary książe Jan, rozdrażniony i pełen niepokoju, powtarzał, że „trzebaż Romana czemś rozerwać, on taki młody!" Lecz dokonać tego nie umieli, i stara księżna, ocierając łzy, ubolewała w duszy, że mu już nie klęknąć maleńkiemu u jej matczynych kolan, aż łzy obeschną!

Po pewnym czasie książę Roman zaczął się przymuszać, aby choć od czasu do czasu wziąć udział w życiu rodzinnem, ale czynił to tak jakby serce jego i myśl zagrzebana została w rodzinnym grobie z utraconą żoną.

Zaczął wędrować ze strzelbą po lasach, strzeżony w tajemnicy przez strzelca, który raportował później, że „jaśnie oświecony książę przez cały dzień ani razu nie strzelił". Czasem znów wczesnym rankiem, zaszedłszy do stajen, szeptem kazał siodłać konia, czekał, bijąc szpicruta po bucie, aż mu go podprowadzono, poczem dosiadłszy wierzchowca, wyjeżdżał w milczeniu za bramę stępa, a wracał wieczorem. Widywano go gdzieś po drogach, jak blady i sztywny, nie patrząc ani na prawo ani na lewo, wyglądał raczej na kamiennego jeźdźca na żywym koniu.

Chłopi, pracujący na bezbrzeżnych i granicami żywopłotów nieznaczonych polach, ścigali go długo oczami; bywało czasem, że miłosierna kobieta z progu niskiej, słomą krytej chałupy, posyłała za nim znak krzyża świętego, tak jakby był jednym z pomiędzy nich, prostych ludzi, tknięty nieszczęściem.

Jeździł tak, patrząc wprost przed siebie, nic nie widząc, jakby pusta była ta ziemia, o ludzkość cała zagrzebana w tym grobie, który mu drogę zastąpił, aby wchłonąć jego szczęście. Czem byli dla niego ludzie i ich smutki, radości, trudy i namiętności, kiedy ona — jedyna na świecie — została odeń odcięta.

Ludzie nie istnieli dlań. Jedynym ratunkiem w osamotnieniu, podobnem do zmory sennej, była mu ziemia, gdzie się urodził i gdzie spędził szczęśliwe lata młodzieńcze. Jak ją dobrze znał! Każde wzniesienie oranych przestrzeni, uwieńczonych koroną drzew, każdy wądół z ukrytą w nim wioską. Śluzy na rzekach wiązały zielone łąki łańcuchem stawów, a daleko na północy rysował się na horyzoncie wielki bór litewski, niby ku słońcu zwrócony nikły pas żywopłotu; na południu, w dal ku równinom, czarna przestrzeń ziemi stykała się z błękitem nieba.

I ten tak znany, skojarzony w duszy z dniami beztroski i wesołości, obraz kraju, którego urok działał nań przemożnie nawet zdaleka, łagodził boleść, podobnie jak obecność starego przyjaciela, który siedzi w milczeniu, niejako pominięty w zaciemnionej godzinie życia.

Pewnego dnia, gdy książę po południu wracał konno do domu, zauważył w dali pas kurzawy wznoszący się z ziemi gęstą chmurą. Wyjechał więc na wzgórek i patrzał. A oto w chmurze tej tu i ówdzie strzelały w górę błyski stalowe pośród poruszającej się masy, którą wreszcie rozpoznał jako długi, podwójny szereg wieśniaczych podwód zapełnionych żołnierzami, a sunących wolno w dwa rzędy pod eskortą konnych kozaków.

Podobni byli do ogromnego węża, którego głowa znikała już w małej dolince, a ogon wił się i malał, jak gdyby potwór ten wgryzał się w samo serce ziemi.

Książę puścił się ku leżącej opodal traktu wiosce, w której karczma zajezdna, ukrywająca pod jednym olbrzymim słomianym dachem stajnię, oborę i stodołę, podobna była do szpetnego, obdartego garbusa-olbrzyma, rozsiadłego wśród małych chałup. U wejścia stał karczmarz, godnie wyglądający tęgi Żyd, w czarnym, aż do pięt, chałacie, przepasanym czerwonym pasem, i dłonią głaskał długą, srebrną brodę. Widząc zbliżającego się księcia, skłonił mu się poważnie, nie spodziewając się nawet, aby go młody pan zauważył, gdyż wiadomo było, że zatopiony w boleści, nie zwraca na nic i na nikogo uwagi. Tymczasem zdziwił się niemało, gdy książę zatrzymał konia i zapytał:

— Jankielu! Cóż to wszystko znaczy?

— To, proszę waszej książęcej mości, konwój piechoty, w drodze na południe.

Obejrzał się ostrożnie na prawo i na lewo, i widząc, że blisko tylko dzieci bawiły się w pyle drogi, przybliżył się do strzemienia jeźdźca i mówił:

— Czy wasza książęca mość nie wie? Już się tam zaczęło! Wszyscy właściciele małych i dużych majątków już się zaciągnęli, a nawet i prości ludzie ruszyli się. Ot, wczoraj jeszcze, rymarz z Gródka (małe miasteczko, gdzie odbywały się targi w sąsiedztwie), poszedł z dwoma swymi terminatorami przyłączyć się, a wóz swój u mnie nawet zostawił. Musiałem mu dać przewodnika, aby go przeprowadził, bo to nasi, proszę waszej książęcej mości, wciąż w drodze i wiedzą wszystko, gdzie i jak się dzieje, i znają wszystkie drogi.

Żyd usiłował opanować podniecenie, gdyż był gorącym patrjotą, — karczmarz i arendarz wszystkich młynów w okolicy. Zniżając jeszcze bardziej głos, mówił dalej:

— Już ja był żonaty, kiedy z Napoleonem szły tędy Francuzy i inne narody, Tse! Tse! Ale to było żniwo dla śmierci, nu! Może tym razem Pan Bóg dopomoże!

Książę potakiwał.

— Może — szepnął i zamyśliwszy się głęboko, puścił konia w stronę domu.

Tego dnia nocą napisał list i wczesnym rankiem konnego posłańca wysłał z nim do miasta, na pocztę. W ciągu dnia, ku wielkiej radości całej rodziny, opuściło go zwykłe, uporczywe milczenie, i rozmawiał z ojcem o nowych wypadkach — o powstaniu w Warszawie, ucieczce wielkiego księcia Konstantego, o pierwszych nieznacznych powodzeniach wojsk polskich (bo wtenczas istniało wojsko polskie) i ruchu powstańczym na wsi. Stary książę Jan, wzruszony i niespokojny, biorąc rzeczy z czysto arystokratycznego punktu widzenia, nie ufał temu ludowemu ruchowi, nie podzielał jego demokratycznych dążeń i nie wierzył w możliwość powodzenia.

Smutny był i wzruszony.

— Sądzę to wszystko z całym spokojem; ale istnieją od wieków zasady praworządności i porządku, które ci niebaczni szaleńcy łamią dla wywrotowych złudzeń. Choć naturalnie patrjotyczne porywy serc...

Książę Roman słuchał zamyślony. Skorzystał z przerwy, aby najspokojniej donieść ojcu, że tego rana właśnie wysłał list do Petersburga, zgłaszający dymisję z gwardji cesarskiej.

Stary książę przyjął to w milczeniu, niezadowolony w głębi duszy, że się go niezadowolony w głębi duszy, że się go nie poradzono. Syn jego był też przyborcznym adjutantem cara, i staruszek wiedział, że car nie przebaczyłby nigdy szlachcicowi polskiemu pozornego nawet odstępstwa. Z niezadowoleniem w głosie wykazał synowi, że i tak ma urlop bezterminowy, więc najlepiej należało poprostu milczeć. Na dworze za dużo posiadano taktu, aby powołać kogoś z jego nazwiskiem, a w najgorszym razie można było się wystarać o wysłanie z misją choćby na Kaukaz, zdala od tej nieszczęsnej walki, zasadniczo błędnej, a więc skazanej na przegraną.

— Znajdziesz się później bez zajęcia i bez celu w życiu, a będziesz potrzebował czegoś, coby cię zajęło, mój biedny chłopcze. Obawiam się, żeś postąpił nieoględnie.

— Uważałem, że tak jest lepiej — rzekł cicho książę Roman.

Ojciec zawahał się pod jego stanowczem spojrzeniem.

— No, no! — może! Ale jako adjutant cara i takiemi względami otoczony na dworze przez całą rodzinę carską...

— Nikt o tych ludziach nawet nie słyszał, kiedy nasz ród już był sławny — rzucił młody pogardliwie.

Na tego rodzaju uwagi stary książę był bardzo czuły, więc, poniekąd udobruchany, rzekł:

— Może tak lepiej...

Ojciec i syn rozeszli się wieczorem bardzo serdecznie, ale nazajutrz zdawało się, że książę Roman popadł znów w dawną głębię zobojętnienia na wszystko: jak zwykle puścił się konno. Pamiętał, że wczoraj widział wężowy, najeżony bagnetami pochód wijący się po ziemi, która była jego własnością. Żona, którą umiłował, była też jego, a śmierć mu ją zabrała. Ta strata wstrząsnęła całym ustrojem moralnym księcia. Dała dostęp do serca jeszcze potężniejszemu bólowi, wyolbrzymiła widnokrąg myśli, a oczom ukazała całą przeszłość i istnienie innego ukochania pełnego męki, ale niosącego niemniej tajemniczy nakaz, podobnie jak stracona miłość, której był powierzył całe swoje szczęście.

Tego dnia wieczorem poszedł na spoczynek wcześniej niż zwykle i zawołał swego osobistego służącego.

— Pójdź i zobacz, — rzekł mu, — czy świeci się jeszcze u koniuszego. Jeżeli nie śpi, poproś, niech przyjdzie do mnie.

Po odejściu służącego, książę śpiesznie popalił różne papiery, pozamykał szuflady biurka na klucz, a na piersiach zawiesił medaljonik z minjaturą żony.

Człowiek, po którego książę posłał, należał do tej przeszłości, którą mu śmierć ukochanej przywołała przed oczy. Wywodził się z drobno-szlacheckiego rodu, który od pokoleń pełnił przy książętach S. rolę sług i przyjaciół, nie odstępując ich nigdy. Pamiętał ostatni podział Polski i brał udział w ostatnich walkach. Był typem szlachcica o wielkiej uczuciowości, pełnym ślepego entuzjazmu, marsowych instynktów i prostej wiary; posiadał też staroświecki zwyczaj przepłatania słów cytatami łacińskiemi. Typowe też były jego dobre, bystre oczy, zdrowa cera, wysokie czoło i sumiaste, siwe, w dół zwisające wąsy.

— Słuchaj, panie Franciszku, — rzekł poufale książę bez przygotowania, — słuchaj, stary przyjacielu! Ulotnię się stąd pocichutku; idę tam, gdzie mnie woła coś mocniejszego od mej rozpaczy, a jednak coś dziwnie do niej podobnego. Tobie jednemu o tem mówię — i ty powiesz, co w danej chwili będzie potrzebne.

A stary zrozumiał, i rozpostarte ręce drżały mu kurczowo. Gdy po chwili odzyskał możność słowa, zaczął głośno Bogu dziękować, że pozwolił mu własnemi oczami patrzeć, jak najmłodszy spadkobierca sławnego rodu daje coraz gentilbus przykład miłości ojczyzny i dzielności w polu. Nie wątpił na chwilę, że ukochany książę obejmie miejsce w radzie i na wojnie odpowiadające jego wysokiemu urodzeniu; już widział, jak in fulgore rodzinnej chwały affulget patride serenitas. Dobiegając do końca swej przemowy, rozpłakał się nagle i rzucił w objęcia księcia.

Ten uspokajał staruszka jak mógł i gdy wreszcie usadowił go w fotelu i jako tako uciszył, rzekł:

— Nie rozumiesz mnie, panie Franciszku. Wiesz przecie, jak ją kochałem. Taki cios otwiera człowiekowi oczy na niepodejrzewane nawet prawdy. Otóż niema mowy, bym szedł na przedzie i w chwale. Chcę iść sam, walczyć nieznany w szeregach. Chcę dać ojczyźnie co jest moje do dania, moje życie, tak samo prosto, jak rymarz z Gródka, który przechodził tędy wczoraj, ze swoimi czeladnikami.

Zakrzyknął na to staruszek, że to nie może być, że on na to nigdy nie pozwoli. Ale musiał ustąpić przed dowodzeniami i twardą wolą księcia.

— Ha! jeśli książę pan mówi, że to sprawa uczuć i sumienia, to niech tak będzie. Ale książę zupełnie sam iść nie może. Niestety! ja już za stary i nieprzydatny. Crepit verba dolor, mój kochany książę, na myśl, żem już przeszedł siedemdziesiątkę i nic więcej w życiu nie znaczę, jak kaleka pod kościołem. Chyba mi już przyszło tylko w domu siedzieć i pacierze szeptać za ojczyznę i za księcia pana. Ale syn, najmłodszy mój chłopiec Piotr, który byłby godnym towarzyszem dla księcia pana, obecnie jest tu u mnie. Od wieków każdemu księciu S. gdy narażał życie, towarzyszył ktoś z naszej rodziny, i książę pan także musi mieć kogoś, który księcia znał i powiadamiał o wszystkiem rodziców i starego sługę. Kiedy książę pan myśli wyruszyć?

— Za godzinę — odrzekł książę, a stary pośpieszył natychmiast po syna.

Książę Roman, wziąwszy zapaloną świecę, począł iść długim, ciemnym korytarzem wiodącym w głąb domu. Bona opowiada potem, że nagle zbudzona ze snu, ujrzała księcia, jak spoglądał na córeczkę, zasłaniając dłonią światło świecy, aby nie padało na śpiące dziecko. Długo stał i patrzał, a wreszcie postawiwszy świecę na ziemi, pochylił się nad kołyską i musnął ustami czoło dziewczynki, która spała dalej spokojnie; poczem, zabrawszy światło, wyszedł cicho z pokoju. Zauważyła dokładnie jego twarz, lecz zamiaru w niej ukrytego nie wyczytała; blady był bardzo, ale najzupełniej spokojny, i wychodząc nie obejrzał się ani razu.

Jedyną zaufaną osobą, poza Piotrem i jego ojcem, był Żyd Jankiel. Na zapytanie, dokąd ma go wieść, książę odpowiedział, że do najbliższego oddziału. Wnuk Jankiela, chudy chłopiec, poprowadził obu młodych ludzi jakiemiś sobie znanemi ścieżynami, lasami i bagnami, aż zabłysły przed nimi rzadkie światełka małego oddziałku obozującego w kotlinie. Gdzieś konie zarżały, i głos z ciemności zawołał: „Kto idzie?". Młody Żyd odszedł śpiesznie tłumacząc się, że musi wrócić na święto szabasu.

Tak więc zaniósł książę swą ofiarę ojczyźnie z całą pokorą i prostotą odpowiadającą objawieniu obowiązku, jakie ukazało się oczom jego w chwili gdy śmierć zdjęła mu jaskrawą zasłonę szczęśliwości z oczu. Towarzysz jego przedstawił się jako syn koniuszego księcia S., a książę jako jego krewny — daleki kuzyn z tych samych co on stron i tegoż nazwiska. Prawdę mówiąc niebardzo kto pytał: dwóch więcej młodzieńców, pod każdym względem dodatnich, przyłączyło się, ot i wszystko.

Książę nie przebywał długo w południowych stronach. Pewnego dnia podczas wywiadu on i paru innych natknęło się na zasadzkę piechoty rosyjskiej, której pierwszy ogień położył kilku trupem odrazu, a resztę rozsypał na wsze strony. Rosjanie sami cofnęli się w obawie większych sił. Po jakimś czasie chłopi, przybywszy na miejsce, wyciągnęli księcia z pod trupa końskiego. On sam był nietknięty, ale wierny towarzysz padł jeden z pierwszych. Książę sam go pogrzebał z chłopami, wśród innych poległych.

Następnie nie wiedząc, czy odnajdzie swój nieustannie w ruchu będący oddziałek partyzancki, postanowił przedostać się do armji głównej, która wstrzymywała nawałę rosyjską od strony Litwy. W przebraniu chłopskiem, aby nie wpaść w ręce maruderów kozackich, po dwutygodniowej wędrówce natknął się na pułk kawalerji stojący we wsi na forpocztach.

Na ławce przed jedną z lepszych chałup siedział oficer, którego książę wziął za pułkownika i zbliżywszy się z należnem uszanowaniem, opowiedział w krótkich słowach swoją historję i chęć przystąpienia. Oficer przyglądał mu się bacznie, a gdy zapytał o nazwisko, książę bez wahania podał nazwisko zabitego towarzysza.

Oficer, starszy już człowiek, wziął go poprostu za syna gospodarza, siedzącego na własnym kawałku ziemi uwłaszczonej, a że mu się powierzchowność młodego człowieka spodobała, zapytał:

— A umiecie no czytać i pisać, dobry człowieku?

— Tak, Wasza Miłość, umiem.

— Dobra. Wejdźcie do chałupy, jest tam adjutant pułkowy, on was zapisze i odbierze przysięgę.

Adjutant w milczeniu bardzo pilnie przyglądał się nowo przybyłemu, i gdy formalnościom stało się zadość, i rekrut wyszedł z pokoju, zwrócił się do starszego oficera z zapytaniem:

— Czy pan wie, kto to jest?

— Kto? Ten Piotr? Podoba mi się.

— To jest książę Roman S.

— Głupstwo.

Ale adjutant był pewny swego; widywał czasem księcia przed paru laty, na zamku w Warszawie, i nawet rozmawiał z nim raz na przyjęciu oficerskiem u wielkiego księcia.

— Mam dobrą pamięć i nie zapominam twarzy ludzkich. Postarzał się i zmienił, ale jestem pewny, że to ten sam.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

— Poznają go kiedyś napewno — szepnął adjutant.

— To nie nasza rzecz, — odrzekł pułkownik i wzruszył ramionami, — jeżeli mu się podoba służyć w szeregu. A nie sądzę, by go tak łatwo poznano, bo prawie wszyscy nasi oficerowie i żołnierze pochodzą z drugiego końca Polski.

Po chwili namysłu dodał z uśmiechem:

— Powiedział mi, że umie czytać i pisać. Mogę go łatwo zamianować sierżantem, napewno będzie z niego dobry nabytek.

Książę jako podoficer przerósł nadzieje pułkownika, i wnet sierżant Piotr zasłynął swoją pomysłowością i odwagą. Nie była to nierozważna odwaga szaleńca, ale opanowane, jakby siebie świadome, niczem nieustraszone męstwo; oddanie się bezgraniczne i niezmienne, które nie zachwiał ani czas, ani przeciw-

O rozwiązłości serca i wstydliwości słowa

Adam Ważyk. Oczy i usta. Warszawa, „Zwrotnica", 1926; str. 52nl.

Karol Irzykowski pisze w swojej książce „Czyn i słowo":

„Każde dzieło wartościowe, czyli przynoszące coś nowego, musi zawierać w sobie element niezrozumiałości, musi stawiać trudności albo głowie, gdy chodzi o przyjęcie nowych myśli, albo sercu, gdy chodzi o nowy sposób odczuwania".

Recenzję moją o tomie poezyj Ważyka opatruję cytatem z Irzykowskiego, aby w ten piorunochron biły gromy zarzutów o niezrozumialstwie. Robię to także dlatego, że w chwili gdy zabieram się do pisania o tej książce, nie mam jeszcze pewności, czy sąd mój z czasem nie okaże się niedostatecznie wnikliwy, sam bowiem również w poezjach Ważyka wielu rzeczy nie zrozumiałem. Nie jest wykluczone, że winę tych niejasności poniesie autor, terroryzujący niejednokrotnie czytelnika swojemi pojęciami o irracjonalizmie. W przekonaniu, że niezrozumiałość w literaturze bywa najczęściej tylko niezrozumieniem ze strony czytelnika, zająłem się poezjami Ważyka poważnie, tak jak na to ta niepospolita książka zasługuje. Czytałem ją z pewną trudnością, powracając do niej kilka razy i demaskując różne podejrzenia, wymagało to sporej pracy myśli i wyobraźni; — w ostatecznym rezultacie roboty tej nie żałuję.

Naprzekór temu, co wielu poetów lubi dziś z mniejszem lub większem zrozumieniem powtarzać o potrzebie konstrukcji, o celowości w dziele sztuki, stanę tu w obronie tego, co możnaby nazwać fizjologją poetycką: w obronie żywiołowej wrażliwości, chłonności zmysłowej i zdolności widzenia świata naopak. Cechy te są, niejako, legitymacją w gmachu poezji, i jeśli się ich nie posiada, lepiej jest wysiłek intelektualny skierować w inne dziedziny.

Adam Ważyk należy do typu poetów niezmiernie wrażliwych, o intelekcie subtelnym i skomplikowanym. Ta nadwrażliwość jest przyczyną poszukiwań poetyckich w dziedzinie podświadomości. Wiersze Ważyka nie są fotografjami żadnej rzeczywistości, — możnaby je raczej porównać do negatywu czułej kliszy z utrwalonemi na niej fantastycznemi kształtami, które zobaczyć i skoordynować w rozumny obraz może tylko wyobraźnia. Marzenia senne, utajona zmysłowość i nadwrażliwość wizualna — są materjałem poetyckim Ważyka. Fizjologja więc jest źródłem tego, co poeta nazywa „rozwiązłością serca i wstydliwością słowa", czyli — pracy poetyckiej. Doskonale wyraża to wiersz „List rekonwalescenta":

„Dziś pierwszy raz od czasu gdy
leżałem chory
wyszedłem dobre świeże poczułem kolory
Podczas każdej choroby wrażliwość
zmieniamy
jak dziecko z łona matki wyszedłem
dzisiaj z bramy".

To subtelne spostrzeżenie o „rozwiązłości serca i wstydliwości słowa" świadczy o surowej dyscyplinie, w jaką Ważyk stara się ująć swoją twórczość. Mimo to niejednokrotnie nieodpowiedzialny splot skojarzeń, brany za istotną pracę wyobraźni, „uwodzi go, jak metafora poetów". Odbija się to ujemnie na niektórych wierszach, niedojrzałych jako przeżycie i nic nie mówiących jako obraz (np. „Woły i księża").

Pięknemi i pełnemi niezaprzeczalnych zdobyczy formalnych wierszami są „Hiramis" i „Ślub Krzysztofa". Pierwszy z nich pozostaje w pamięci plastycznie jako jakaś walka krzywizn z kształtami prostemi. Surowość psychiki, urobioną na wzór wszechobecnego w mieście pionu, dzikie i okrutne znaczenie „alfabetu cegieł i tafel, krztuszącego się w kaszcie kwadratu" — zwalcza budowniczy Hiramis, kreśląc i wykonywając swe sferyczne plany. Prowadzi to do katastrofy, której nie należy doszukiwać się w fabule wiersza: jest to katastrofa metafizyczna, mogąca nastąpić w tych zmaganiach się myśli ludzkiej, z których powstają wielkie teorje współczesnej wiedzy. Fizjologja niejednokrotnie jest dla Ważyka źródłem inspiracji poetyckiej. Jego wyobraźnia pracuje w widzialnych i dotykalnych kształtach, ale podskórnym nurtem każdego prawie wiersza jest coś, co bliżej określać nie czuję się powołany; — pozostawiam tę pracę psychoanalitykom. Wiele postaci i obrazów w wierszach Ważyka ma znaczenie symboliczne, przyczem jest to symbolika tkwiąca głęboko w podświadomości. Konieczność seksualnej interpretacji niektórych, być może — nieświadomie rzuconych, obrazów, zilustruję przykładami.

„W ten dzień piękniejszy od młodej
kobiety
jak siostry podobne są nasze ręce".

Albo:

„W tych znakach trud podskórny
przepływał od wnętrza
do ręki, gdzie jest praca najprostsza
i najgęstsza;
a dreszcz nowego ładu z powrotem parł
do kości,
krew w żyłach wyjaśniał mlekiem miłości".
(Mowa tu o młodzieńcu, piszącym na ścianie imię swojej kochanki.)

Nawet krzywizny Hiramisa mają jakieś seksualne znaczenie, skoro pałąk jest „wygięty żeńsko". Najlepszem jednak potwierdzeniem tego, co mówię o znaczeniu seksualnem poezji Ważyka, jest pewien motyw, uporczywie powracający w wielu wierszach. Jest to kompleks splotu, występujący najczęściej jako krawat lub pętla i demaskujący się ostatecznie w postaci znaku firmowego & w wierszu „Henryka & Elżbieta", mającym nawet pod względem fabularnym znaczenie seksualne.

Pozostawiając ten trop innym, wracam do bardziej świadomej strony twórczości Ważyka. „Ślub Krzysztofa" jest wierszem epicznym, jednak, mimo swego charakteru, ume obejść się bez wyraźnego wątku fabularnego. Są to jakby przekroje sytuacyjne, spojone liryką. Nastrój psychicznej zagadki i perfuma jakby staroświeckiego romansu — z pistoletami, karetą i awanturniczym młodzieńcem! „Dagerotyp" jest naprawdę dagerotypem, a przytem wierszem pełnym humoru i radości — wszystko, naturalnie, również pod pseudonimami.

Najmniej przekonywa mnie Ważyk tam, gdzie chce w wierszu wypowiedzieć się teoretycznie, i tam, gdzie pozostawia obrazy i pojęcia, nie dające się skontrolować, np. w wierszu „Skwer".

„Nie pragnę żadnej z wiecznosci
Nie jadę żadnym tramwajem
Nie chodzę żadną ulicą
Rosnąc stoję".

Są to zapewne drobne okruchy z bryły niezrozumialstwa, rozkruszonej przez Irzykowskiego. [Czy nie wartoby wreszcie do tej samej kategorji zaliczyć sławetne „44"?]

Jeszcze jedno. W poprzednim swoim tomie pisze Ważyk w którymś wierszu:

„Zazwyczaj na muzykę jestem głuchy
jak pień".

Takie twierdzenie w ustach niezaprzeczalnego poety jest oczywiście przesadą, ale istotnie wierszom Ważyka często brak ducha muzyki.

Może z powodu tego braku mówi poeta:

„Chcę zdań zasobniejszych od rosy
chcę mówić prozą
pożywną radością treści".

Ale przecież i proza musi powstawać z ducha muzyki. Świetny skądinąd „Ślub Krzysztofa" rytmem wiersza przypomina niekiedy nienajlepsze przekłady z liryki francuskiej.

Znaki przestankowe należy — albo zupełnie usunąć, albo stawiać je wszędzie tam, gdzie tego wymaga składnia, — w każdym razie trzeba to poddać jednemu prawu. Pod tym względem w każdym wierszu Ważyka jest inaczej, co wzbudza podejrzenie, czy wogóle wynalazek Marinettiego jest potrzebny. Co do mnie — najlepiej lubię czytać wiersze przy pomocy przecinków i kropek.

Władysław Broniewski.

ADAM WAŻYK

Wskrzeszenie państwa polskiego

Wskrzeszenie państwa polskiego. Szkic historyczny. Tom I. 1914—1918. Tom II. 1918—1923. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1920—1925; str. 4nl. i 238 i 2nl. (I), 300 (II).

Książka, wydana anonimowo, przypisywana jest powszechnie Michałowi Borzyńskiemu, który, niewiadomo właściwie dlaczego, ukrył swe nazwisko, mimo że wypowiada śmiałe sądy i zajmuje zdecydowane stanowisko wobec poruszanych zagadnień.

T. I obejmuje lata 1914—1918, a więc sprawy, związane z wybuchem wojny światowej, omawia stan polityczno-umysłowy społeczeństwa polskiego we wszystkich trzech zaborach, następnie poszczególne organizacje w Królestwie i Galicji, akcję Naczelnego Komitetu Narodowego, akt 5 listopada, stanowisko społeczeństwa polskiego wobec rewolucji rosyjskiej, akcję komitetu paryskiego i organizowanie życia państwowego pod okupacją (Rada Regencyjna, wojsko, szkolnictwo, administracja), aż do wycofania wojsk niemieckich z terenów okupowanych i objęcia władzy przez Piłsudskiego. T. II stanowi dalszy ciąg dziejów aż do r. 1923, a porusza zagadnienia wewnętrzne, związane z organizowaniem państwa, i zewnętrzne, związane z uznaniem i ustaleniem granic Rzeczypospolitej.

Obok wielu zalet książka ta posiada dużo wad. Główna jej wada polega może nietyle na pewnych brakach i nieścisłościach merytorycznych, ile na tem, co sobie uzurpuje. W przedmowie autor zaznacza, jak swą pracę rozumie. Ma to więc być „szkic historyczny", stanowiący „pierwszą próbę dotarcia do prawdy dziejowej... przez zebranie i wyzyskanie źródeł jej z obu stron linji bojowej", a celem książki ma być kojące działanie na rozdrażnione obozy przez wykazanie, że „wszystkie stronnictwa dążyły do jednego celu, i każde z nich ma w niem cząstkę zasługi".

Odrazu nasunąć się muszą historykowi poważne wątpliwości natury zasadniczej. Czy możliwe jest pokusić się o ujęcie prawdy dziejowej bez perspektywy historycznej, bez owego bezstronnego spojrzenia, na które człowiek żyjący aktualnością zdobyć się nie jest w stanie? Czy nie będzie to jeszcze tylko jakaś pseudohistorja, oparta na źródłach ułamkowych i zabarwiona mniej lub więcej pierwiastkiem emocjonalnym, a więc znów publicystyka, a nie historja naukowa? Powraca uporczywie tak aktualne w nauce historycznej pytanie, czy możliwa jest historja współczesna,—a książka niniejsza, mimo swej zapowiedzi, odpowiada na nie negatywnie. Wykazuje jednem, że nie wystarczy podać szeregu faktów na podstawie źródeł z obu stron linji bojowej, aby praca stała się naukowo objektywna.

Już z pierwszych zaraz stronic książki wyczuć nietrudno wyraźnie zarysowaną tendencję, która w miarę poruszania pewnych zagadnień staje się coraz bardziej dominująca. Jest to punkt widzenia krakowskiej partji konserwatywnej, zgrupowanej podczas wojny w N. K. N. Śmiało nawet rzec można, że zwłaszcza t. I — to apologja tego stronnictwa i jego działalności w latach 1914—1918.

Wiąże się z tem specjalne wysuwanie roli Galicji przed wojną i robienie z niej pod dobroczynnemi skrzydłami Austrji jakiegoś polskiego Piemontu w dziejach odbudowy państwa polskiego. Tendencja ta przebija z każdego niemal rozdziału zarówno jeśli mowa o koordynowaniu i przygotowywaniu moralnych sił narodu w celu wskrzeszenia Polski jeszcze przed wojną (I, 17 — 21), jak i o trzeźwości i aktywności politycznej podczas wojny, jak wreszcie o pracy organizacyjnej ostatnich lat już w Polsce odrodzonej (II, 128—130). Wszędzie i zawsze Galicja stoi na pierwszem miejscu w stosunku do innych dzielnic Rzeczypospolitej, posiada monopol na rozum i takt polityczny, na wyrobienie i rutynę urzędniczą.

Oczywiście i w Galicji były żywioły niedowarzone, „żywioły młode a gorące", które na parę lat przed wojną jeszcze tworzyły potajemnie związki wojskowe ku utrapieniu polityków rozważnych, przygotowywały się do wojny z Rosją i w 1914 r. „pod wpływem powszechnego zapału, a nie oglądając się na nikogo, w dn. 6 sierpnia, wyruszyły z Krakowa i przekroczyły granicę Królestwa, dając hasło do walki narodu polskiego z Rosją" (I, 22), budząc najgłębsze rozterki wśród społeczeństwa. Lecz niebezpieczeństwu temu zaradzili politycy polscy w Austrji — Biliński i Leo, którzy „bezładną partyzantkę przekształcili w formację wojskową regularną, w legjony" (I. 27), podległe departamentowi wojskowemu N. K. N.

Cokolwiek sądzić na podstawie faktów o tego rodzaju rozumowaniu, w każdym razie stwierdzić należy, że stwarza ono obraz jednostronny i niekoniecznie prawdziwy. Nie wyjaśnia zjawiska historycznego, a narzuca pewną konstrukcję a posteriori. Pochodzi to stąd, że autor zanadto wsiąknął w ideologję polityczną N. K. N., wyrosłą z dwóch przesłanek: bezwzględnej wiary w przychylność Austrji dla sprawy polskiej oraz ścisłego trzymania się polityki oficjalnej, nie dostrzegającej czynników moralnych poruszających zbiorowiskiem ludzkiem. Pod kątem widzenia tych koncepcyj traktuje autor — mimo zastrzeżeń i pozorów objektywności — całą sprawę polską podczas wojny i dlatego nie jest w stanie zrozumieć pewnych głębszych zjawisk. Stąd to, obok sądów bardzo trafnych i poważnych, godnych uczonego-historyka, znajdują się niekiedy uwagi bardzo naiwne i płytkie, zwłaszcza jeśli chodzi o zagadnienie ruchu niepodległościowego lat 1914—1918 i związane z tem kwestje społeczne, których autor nie dostrzega. Nie zstępując w głąb tych problematów, nie ogarnia często ich istoty, dlatego np. nie potrafi wyjaśnić wszystkich spraw, związanych z dziejami legjonów, jak kwestja przysięgi, konfliktów wewnętrznych, wreszcie dymisji Piłsudskiego i rozwiązania legjonów. Tak samo nie umie należycie ująć racji bytu Polskiej Organizacji Wojskowej, nie dostrzega nawet roli jej przy rozbrajaniu okupantów, którzy według niego sami spokojnie wycofali się z Warszawy. Również nie wyjaśnia autor sprawy rządu lubelskiego, z którym rozprawia się krótko w paru zakrawających na złośliwą demagogję lub — co łatwiej przypuścić — pochodzących z bezgranicznej naiwności słowach: „Program rządu lubelskiego, ułożony na wzór programów bolszewickich, przygotowywał Polskę do wstąpienia obok Ukrainy i Litwy do sowietów rosyjskich" (II, 18). Stawianie Daszyńskiego, Moraczewskiego, Sieroszewskiego i Thugutta w jednym rzędzie z bolszewikami, jeśli nie ma być argumentem demagogicznym, staje się jakiemś śmiesznem nieporozumieniem, nie na miejscu w poważnym szkicu historycznym.

Lecz książka posiada i duże zalety. Przedewszystkiem ujmuje w pewną jednolitą całość historję Polski w latach 1914—1918 — i chociaż nierównomiernie i jednostronnie. — jednak informuje o wszystkich wypadkach, zjawiskach i wysiłkach polskich w tym okresie bez zaciętrzewienia partyjnego. Rzeczowo i z dużą trzeźwością w sądach kreśli autor charakterystykę Narodowej Demokracji, jej małoduszność i lojalizm przed wojną (nie dostrzegając jednak przytem analogicznych, choć mniej demoralizujących cech u polityków galicyjskich w stosunku do Austrji), jej pasywizm i krótkowzroczność podczas wojny, wreszcie jej destrukcyjną w stosunku do państwa polskiego rolę w komitecie paryskim podczas rokowań pokojowych, niezrozumienie pewnych zagadnień państwowych i jej zamach na konstytucję w grudniu 1922 r. Do dobrych momentów w książce należy również subtelna analiza krytyczna konstytucji polskiej, a zwłaszcza spokojna, lecz ostra krytyka praktyk naszego sejmu suwerennego i całego systemu administracyjno-rządowego, w którym autor sprzeciwia się zbytniej centralizacji, a żąda większej koncentracji władz. Wogóle t. II, w pięć lat po pierwszym wydany, jest znacznie od poprzedniego głębszy — tendencyjność znacznie złagodzona, obiektywność i analiza zjawisk mniej rzadka — wpłynął na to niewątpliwie fakt, że w życiu politycznem tych lat (1919—1923) nie brał autor, jak sam w przedmowie zaznacza, osobiście udziału, i to mu — widać — pozwoliło na większą bezstronność i większe pogłębienie. Niektóre zawiłe zagadnienia polityki zewnętrznej, skomplikowane i sporne, przedstawia nam autor bardzo jasno i przekonywająco, do ładniejszych stronic książki należy niewątpliwie subtelne i rzeczowe uzasadnienie planów federacyjnych w polityce wschodniej Rzeczypospolitej.

Mimo tych wielu zalet książka jest raczej poważnym dokumentem, niż „szkicem" historycznym.

Helena Więckowska.

„Wielki człowiek"

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam.** Tom XXXIX—XL. **Arnold Bennett.** Wielki człowiek. Tłumaczyła **Karolina Solska.** Tom I—II. Warszawa, 1925; str. 141 i 3nl. (I), 151 i 3nl. (II).

Skromny i solidny handlowiec, grafoman z zamiłowania, zostaje niespodziewanie, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności i gustom czytającej publiczności, głośnym dostawcą powieści rozchwytywanych przez czytelników Wielkiej Brytanji oraz Stanów Zjednoczonych. Dzieje wielkości Henryka Szekspira Knighta opowiedziane są bez krzty jadu.

ARNOLD BENNETT

Autor przestaje ze swym bohaterem raczej po przyjacielsku, traktując go w niezodmiennie życzliwy sposób — i w ten sam życzliwy sposób ośmiesza go umiarkowanie.

Henryk Szekspir Knight (po uzyskaniu zaś sukcesów scenicznych — poprostu Szekspir Knight) jest postacią zupełnie normalną i nieszkodliwą. Człowiek gruboskórny, choć niezły i życiowo bodaj nieglupi, został zaskoczony przez własne niesłychane powodzenie, ale nie przewróciło mu ono bynajmniej w głowie. Wielka maszyna współczesnego życia wyniosła go gładko wśród najzabawniejszych perypetyj na szczyt — lecz przy całej wnętrznej niedorzeczności zajścia tkwi w niem pewna logika. Knight jest takim samym nieporównanym w swoim rodzaju produktem wysokiej kultury, jak np. wyjątkowej wagi wieprz yorkshirski lub szczególny okaz owocu lub warzywa. Pod tym względem „wielkość" jego nie ulega wątpliwości. Naturalnie dla takiego sukcesu potrzebne jest pewne napięcie mierności, będące szczęśliwym darem natury. Figury tego rodzaju istnieją jednak w każdej dziedzinie życia i twórczości: w literaturze, polityce, nauce — i wpływu ich nie można lekceważyć.

Inne postaci powieści służą za tło głównemu bohaterowi — i Bennett zużywa je o tyle, o ile mu są one potrzebne do wycieniowania Knighta. Ciekawe przytem, iż autor jak gdyby nie zerwał z nim całkowicie pewnej więzi solidarności, — domieszany jest tu balast przeżyć bardziej serjo, — a satyra przestaje być stuprocentowa, co przypomina trochę manjerę Weyssenhoffa w „Podfilipskim".

ej.

„Dziurdziowie" Orzeszkowej

Eliza Orzeszkowa. Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne ze wstępem **Aurelego Drogoszewskiego.** Tom IV. Dziurdziowie. Cham. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 141 i 3nl.

T. IV wydania zbiorowego pism Elizy Orzeszkowej, które to wydanie żółwim posuwa się krokiem, zawiera dwie krótsze powieści autorki „Nad Niemnem", raczej dwa studja psychologiczne, noszące tytuły „Dziurdziowie" i „Cham".

W obu owych pracach w sposób osobliwy zlewa się badanie psychologiczne jednostki ze studjami nad duszą zbiorowości, która w tym wypadku jest społeczeństwem chłopskiem. Najbliższa tej sfera Orzeszkowej, najbardziej znajoma, sięga ona w nią, jak do gotowego zbiornika tematów ulubionych sobie; nikt przed Reymontem nie znał tak dalece życia i psychologji chłopaj jak Orzeszkowa, chociaż w okazjach ostanich, w których się tyle mówiło o twórcy „Chłopów", nikt nie wymienił nawet nazwiska jego wielkiej poprzedniczki.

„Cham" jest to niezmiernie przenikliwe studjum (w owych przecie czasach nietylko do Prouście, o Bourgecie nawet nie było słuchu — pamiętajmy wciąż o tem!) natury histerycznej kobiety, która popychana przez nieuleczalną chorobliwość swego temperamentu, niszczy swoje i cudze szczęście, gnana nieprzezwyciężonem fatum, hodowanem w sercu.

O wiele ciekawszą i głębszą powieścią, zarówno w swojem psychologicznem pogłębieniu jak i w szerokości horyzontów, które obejmuje, mimo iż z pozoru trzyma się bardzo ograniczonego koła problematów, — są „Dziurdziowie".

Jest to historja i wytłumaczenie pewnej zagadkowej zbrodni: opowiadanie bez wątpienia na jakimś autentycznym fakcie oparte. Historja szczęśliwej i wesołej Pietrusi, której nie może znieść społeczeństwo wiejskie, właśnie za jej szczęście, wesołość, za jej umiejętność, za jej, słowem, — nieprzeciętność. Bo i gdzież? Niewiadomo skąd przyszła do wsi, nie znają jej ojców z dziada i pradziada, umie różne leki przyrządzać i ze swoją wiedzą się nie kryje, — przez sześć lat czekała na narzeczonego, który do wojska poszedł, i wierna mu została, wreszcie wyszła za niego zamąż i jest szczęśliwa. Czyż za tyle nieprawdopodobnych cnót i czynów, czyż poprostu za szczęście swoje nie musi zapłacić straszliwą śmiercią?

Ludzie nie znoszą, aby ktoś był lepszy od nich. Nie znoszą, aby był szczęśliwy. Jest to na małą skalę konflikt ten sam, co powiódł na stos Joannę d'Arc. Odtworzony on został przez Orzeszkową z całą powściągliwością wyrazu, właściwą (i tak cenną dla nas) pozytywistycznemu pokoleniu pisarzy. Mamy nawet czasami wrażenie, że Orzeszkowa nieświadoma jest wielkości i dramatyczności poruszanego tematu. Że już zanadto przed okiem naszem okrywa właściwe znaczenie konfliktu, odsuwając go jak najbardziej w cień życia wiejskiego.

Ale życie tej małej wioski, Suchej Doliny, jest tylko symbolem — wyobrażam sobie jakby się Orzeszkowa przeraziła owego słowa — życia ludzkiego. I czterej chłopi, zabójcy Pietrusi, stanowiąc jednocześnie świetne cztery typy wieśniaków, — są doskonałymi wyrazicielami typów ogólnoludzkich.

Taki np. Piotr Dziurdzia, którego pobożność i palący mistycyzm doprowadza do strasznego czynu; popełnia on zbrodnię niemal z modlitwą na ustach, wierząc do ostatniej chwili w prawdę swojego czynu. Jest to jedna z najznakomitszych postaci, jakie stworzyła Orzeszkowa. Paru świetnemi rysami przedstawiła nam go plastycznie, wiążąc w jeden snop z tak odmiennymi krewniakami, jak spalony jedyną namiętnością swego życia Stefan lub bezmyślny w swej nieprzebranej nędzy Szymon.

Artyzm Orzeszkowej, ów solidny artyzm mocnego budowniczego, który nie błyska przed oczami lada ornamentem, ale b u d u j e, święci w „Dziurdziach" prawdziwe triumfy. Akcja ma przebieg zwarty i plastyczny, co się zowie dramatyczny. Ulubione echolalje i paralelizmy, lekko tylko zaznaczone, podkreślają jednak budowę. Opowiadanie Aksenyi, chociaż rozmija się może z zasadniczą tendencją powieści, stanowi psychologiczne przygotowanie rozwiązania, które zresztą jest aż nazbyt może starannie i wszechstronnie umotywowane. Najmniej stosunkowo uzasadniona jest zbrodnia Piotra, i tu też odruch morderstwa najbardziej jest przekonywający.

A jeżeli kto mówi, co często daje się słyszeć, iż Orzeszkowa lichą jest stylistką, niech weźmie do ręki niezapomniany, niesamowity obraz zjawienia się Pietrusi na osinowy ogień zaraz na początku powieści. Tyle tu malarskiej plastyki, co i poczucia wagi słowa. Scena wypadła znakomicie. Język trochę może przestarzały (zwłaszcza razi nas stały „ablativus judaicus"), ale czasami mistrzowski w swej powadze i ścisłości. Np. jakie piękne jest zakończenie powieści:

„Za nimi Pietrusia, żona Michała Kowala, nieruchomą plamą ciemniała na białej ziemi. Kijami połamali jej piersi i żebra, młodą twarz okrwawili i ofiarę swą zostawili na pustem polu, na szerokiem polu, białemu śniegowi na podściół, czarnym krukom na strawę".

Tem ważniejszy jest ten wysoki gatunek materjału artystycznego, że nigdy nie gra on u Orzeszkowej pierwszoplanowej roli, nie jest sam w sobie celem, zawsze tylko środkiem w ręku szlachetnej poetycznicki i subtelnego psychologa.

Jarosław Iwaszkiewicz.

NOWOŚĆ!

GEORGES DUHAMEL

O POEZJI

przełożył

GABRJEL KARSKI

O Aspazji

Jan Parandowski. Aspazja. Lwów, H. Altenberg, (1925); str. 59 i 5nl.

Pan Parandowski jest znakomitym stylistą. Pisze prozą prostą, widocznie wzorowaną na antycznych mowach. Miłe brzmiała ona w opowiadaniach o bogach Grecji, miłe w pięknych i uciesznych historyjkach o Erosie na Olimpie. Ale przedziwnie czysto, jak śpiż, zabrzmiała w malutkiej książeczce o Aspazji, książeczce, która mimo, że jest miniaturowa, stanowi bezsprzecznie najlepszą książkę Parandowskiego.

„Starając s.ę wywołać przed sobą postać Aspazji, — powiada autor we wstępie, — nie znajduję poprostu żadnego oparcia. Wszystko, co zdołam uczynić, to z trudem wyłuskane daty jej życia powiązać z innemi, pewniejszemi, i odtworzyć obraz czasów, w których żyła. Muszę się w jakiś sposób zadzierzgnąć o tajemnicę jej duszy, aby ten nieuchwytny kształt nie zasunął się nagle w cień, co tak doń przyłega, jakby na wieki był jego wyłączną własnością".

Na podstawie „biedniutkich okruszyn łużnych i sprzecznych wiadomości" Parandowski buduje obraz wielkiej kobiety w słowach wrażliwych. Ale pod te słowa, dyskretne i proste, podłożono tyle wymownej treści, że mimowoli przypominają się przedziwnie pisane studja Patera, gdzie nic nie jest prawie powiedziane, a wszystko się rozumie.

Rola Aspazji — uświęcicielki małżeństwa, które w oczach zdumionych Greków podniosła do godności współżycia i współpracy godnych siebie duchów, jest zarazem wyprawą po zdobycie dla kobiet nowych dziedzin intelektualnych. Pierwsza emancypantka europejska znalazła w autorze polskim doskonałego portrecistę. Lecz zdaje się, że jeszcze lepiej, jeszcze wymownej, jeszcze bardziej po ludzku udało się Parandowskiemu mimochodem naszkicować sylwetę jej wielkiego małżonka.

ji.

Każdy, kto pozyska

dla „Wiadomości Literackich" nowego prenumeratora, ma prawo z u p e ł n i e b e z p ł a t n e g o w y b o r u dwóch oprawionych tomów z niżej przytoczonej listy. Administracja „Wiadomości" przekaże książki po otrzymaniu odpowiedniego zawiadomienia i wpłaceniu prenumeraty bezpośrednio w administracji, zwykłą drogą pocztową lub do P. K. O. (8.515). Cena katalogowa tomu wynosi od zł. 1.90—2.20.

Bourget. Dramat w wielkim świecie. 2 tomy. — **t'Serstevens.** Romantyczny włóczęga. — **Winawer.** Doktór Przybram. — **Delarue-Mardrus.** Obok miłości. — **Makuszyński.** Piąte przez dziesiąte. — **Husarski.** Malarstwo nowoczesne. — **Mérimée.** Kolomba. — **Strug.** Z powrotem. — **Wilton.** Ostatnie dni Romanowów. — **Cazotte.** Djabeł zakochany. — **Balzac.** Honoryna. — **Perzyński.** Do góry nogami. — **Hutchinson.** Taka to i wolność. 2 tomy. — **Makuszyński.** Bezgrzeszne lata. — **Gerbault.** Sam przez Atlantyk. — **Ibanez.** Czterech jeźdźców Apokalipsy. 2 tomy. — **Orkan.** Komornicy. — **Szelągowski.** Polska współczesna. — **Lagerlöf.** Wyrzutek. 2 tomy. — **Loti.** Zjawa Wschodu. — **Bennett.** Wielki człowiek. 2 tomy. — **Doyle.** Wspomnienia i przygody. 2 tomy. — **Melcer-Rutkowska.** Turcja dzisiejsza. — **Caine.** Wielki Mendoza i mała senorita. 2 tomy. — **Rygier-Nałkowska.** Małżeństwo. — **London.** Miłość życia. 2 tomy. — **Ibanez.** Ziemia zdobywców. 2 tomy. — **Gauguin.** Noa Noa. — **Daniłowski.** Tętent. — **Bourget.** Sens śmierci. — **Perzyński.** Uczniaki. — **Bédier.** Dzieje Trystana i Izoldy.

Teatr

Teatr Narodowy: „Agne", dramat w 3 aktach (5 odsłonach) **Eryka Erbena**; reżyserja **S. Jaracza**, dekoracje **A. Świdwińskiego.**

„Agne" jest sztuką nagrodzoną na konkursie teatrów miejskich. Pan Brończyk uzyskał pierwszą nagrodę, a p. Erben pono — drugą. Nic dziwnego. Gdyby ogłoszono konkurs piękności męskiej i gdyby do konkursu stanęło tylko dwu kandydatów, np. p. Magnuski i p. Krzywoszewski, — jest rzeczą niewątpliwą, że jeden z nich otrzymałby pierwszą nagrodę. Można było dać lub nie dać nagrody tym tandetom literackim, ale nie należało tego pokazywać publicznie. Wyglądało bowiem na prowokację. O tej nieszczęsnej „Agne" słyszało się już od roku. Aktorki wydzierały sobie role, ferowano wyroki, procesowano się o obsadę — wreszcie po niezliczonych walkach i próbach pokazano nam premjerę i derrière'ę, — i sztukę zdjęto z afisza.

Czy nie jest to kompromitacja dla sądu konkursowego? Czy można mieć zaufanie do teatru, który wystawia niezmęczenie co najgorsze sztuki krajowe, i to sztuki o lichej formie literackiej, na które nawet względna publiczność warszawska kategorycznie nie chce chodzić.

Czyż nie jest już dostatecznie jasne, że sprawa materjalnego istnienia teatru jest w dobie obecnej nierozerwalnie związana z poziomem literackim i artystycznym, na innych bowiem polach teatr nie wytrzymuje konkurencji kina i kabaretu. Równie oczywistą prawdą jest, że podniesienia poziomu produkcji krajowej nie można osiągnąć przez wystawianie najsłabszych utworów polskich. Wysoki poziom teatru, opartego na istotnych dziełach talentu, podnosi wymagania i rozwija kulturę literacką. Doszło do tego, iż w Warszawie każdy może wystawić swoją sztukę, jeżeli mu tylko przyjdzie na myśl napisać ją i przepisać na maszynie. Drukuje się u nas wiele głupstw, ale różnica między słowem drukowanem a mówionem ze sceny jest zastraszająca. Czy prasa poważna zajmuje się powieściami p. Staśki, który jest napewno zdolniejszy od Konczyńskiego, — albo czy całe miasto czyta tyle recenzyj z powieści Mniszkówny, która popularnością swoją bije trzydziestu Kiedrzyńskich? Jest w tem niewątpliwie poważna wina prasy. Pisanie o teatrze jest uprzywilejowanem stanowiskiem dla literata, jak kiedyś, w czasach parnasistów francuskich, szczytem karjery dziennikarskiej dla poety było objęcie sprawozdań z salonu. Tylko, że wtedy w malarstwie francuskiem działo się więcej niż dziś w naszej twórczości teatralnej. Boy, Makuszyński, Irzykowski, Nowaczyński — piszą dwa razy na tydzień o byle brędni, zagranej w ogrodzie Saskim, — niema natomiast wcale ludzi poważnie piszących o literaturze.

Mnie osobiście najzupełniej usprawiedliwia mój zdeklarowanie negatywny stosunek do obecnego teatru i sztuk teatralnych dostawców. Teatr coraz częściej musimy traktować w naszem piśmie jak swego rodzaju „Camerę obscurę".

Boy, mówiąc o aktorach z okazji bojkotu sztuki Witkiewicza, w miłej pasji powiedział cośnieco o zdawkowości i fałszu prasy w ocenie gry aktorów. To samo należałoby powiedzieć o stosunku do komedjopisarzy warszawskich. O sztukach Krzywoszewskiego, Fijałkowskiego czy Germana krytycy nie piszą tego, co myślą. Jest to wysoce szkodliwe i mści się na poziomie życia kulturalnego. Można zresztą znaleźć na to pewne usprawiedliwienie, ale niczem się już nie da usprawiedliwić cynizm recenzenta z „czerwoniaków", p. Lorentowicza, który sam nagrodził sztukę p. Erbena, a potem na przedstawieniu bił ironiczne oklaski. Krytyk ten, odznaczający się przysłowiowem lenistwem i tępotą, znany jest jeszcze z żywej niechęci, jaką okazuje prywatnie sztuce dramatycznej. Prawdopodobnie te wszystkie cechy, poparte jeszcze zupełnem niedołęstwem, skłaniają miasto do oddawania mu co pewien czas jakiejś posady teatralnej. Czasby naprawdę skończyć z tą nudną figurą, jeżeli bowiem teatry warszawskie mają ulec jakiejś sanacji, trzeba tam pracy, zapału i poważnych kwalifikacyj.

Prócz ujemnej roli prasy podkreślić również trzeba fatalny do dziś dnia snujący się po gmachu teatru swąd redutowy. Ciężka woń rozkładu mózgowego p. Limanowskiego i kabotynizm wybornego skądinąd aktora Osterwy truje zdrowie nawet najświetniejszych aktorów. Osterwa, który nauczył mędrkowania różnych samouków, który karmił aktorów i widzów samą padliną literacką, — ten bojownik-idealista, który wygrywa sztuki Germana i Siedleckiego, zabagnił na długo rzetelne posłannictwo teatru prawdziwej poezji.

W traktowaniu niemądrej sztuczki p. Erbena mogliśmy zaobserwować taki tyfus plamisty wygłupiania się na temat „pierężywania". Sztuka ta nie jest specjalnie okropna — jest tylko tą kroplą, a raczej tem wiadrem wody, które przepełniło już kielich cierpliwości. Publiczność poprostu wyśmiała autora i nie przyszła już na drugie przedstawienie. To jest w porządku.

Natomiast niezupełnie w porządku byli panowie autorzy dramatyczni z rodzaju Kiedrzyńskich i Konczyńskich, którzy tylko dlatego, że p. Erben nie należy do ich kliki, kpili sobie z jego sztuki i zachowywali się prowokująco. Należy zwrócić uwagę tym panom, że mieli tu prawo kłócić się jedynie o różnicę poziomu, a nie o całość, — a różnica ta jest niewielka i nie napewno na ich korzyść.

Antoni Słonimski.

Plastyka

Salon Garlińskiego: **Wystawa „Rytmu".**

Rozpatrując obecną wystawę „Rytmu" jako jedną całość i zestawiając ją z poprzedniemi wystąpieniami grupy, dostrzegamy na pierwszy rzut oka pewną ewolucję, polegającą na silniejszem podkreśleniu pierwiastków malarskich w po-

ROMAN KRAMSZTYK:
Studjum portretowe

równaniu z bardziej plastycznem, klasycyzującem ujęciem, które znamionowało dotychczasową działalność stowarzyszenia.

Ewolucja ta nie jest zależna wyłącznie od przypadkowej przewagi liczebnej tych lub innych uczestników grupy na obecnej wystawie; wynika ona również z przemiany, która zaszła w twórczości poszczególnych członków stowarzyszenia i która wiąże się w sposób widoczny z analogicznym ruchem w sztuce zachodniej, a zwłaszcza francuskiej.

Jakkolwiek bowiem trudną jest i niebezpieczną rzeczą syntetyczne ujmowa-

WACŁAW HUSARSKI:
Chrystus uśmierzający burzę

nie i klasyfikowanie zmiennych, nieskrystalizowanych jeszcze zjawisk chwili bieżącej, jednakże nie pomylę się chyba twierdząc, że sztuka obecnego pokolenia, ukształtowana pod znakiem reakcji przeciwko impresjonizmowi, przeszedłszy w kubizmie i związanym z nim klasycyzmie przez punkt kulminacyjny owej reakcji, powraca obecnie w sposób coraz wyraźniejszy do postulatów impresjonistycznych, nie rezygnując zresztą bynajmniej ze zdobyczy kubizmu. Po okresie walk i przewrotów jesteśmy świadkami uspokojenia i poszukiwań syntetycznych, usiłujących połączyć nowe zrozumienie formy, stworzone przez kubizm, z impresjonistycznem pojęciem barwy i malowniczości. Nic też dziwnego, że dwaj klasycy, wyrośli z impresjonizmu, Cézanne i Renoir z drugiego okresu, są przewodnikami duchowymi najmłodszego pokolenia, i że z pośród mistrzów dawnych Poussin, klasyk epoki barokowej, najgorętsze budzi umiłowanie. W paryskiej gwarze pracowniane nazywa się to, że Picasso i Dérain ustępują miejsca Vlaminckowi.

Rozpatrując grupę „Rytmu" ze stanowiska tej ewolucji, na jednym z jej krańców ideologicznych umieścić musimy Ślendzińskiego, najdobitniej reprezentującego dążności klasyczne, związane z kubizmem. Egzaltacja ścisłej, plastycznej formy, przeciwstawionej zasadniczo wszelkim odcieniom malowniczości, doprowadziła tego artystę w jego zadziwiająco logicznym rozwoju do granicy, na której kończy się już malarstwo, a zaczyna polichromowana płaskorzeźba. Jest to najprostsza konsekwencja jego założeń, która ostatecznie rozwiązanie znajdzie prawdopodobnie w czystej plastyce.

Obok Ślendzińskiego jako przedstawiciel założeń formalnych czysto klasycznych występuje w swych kompozycjach Skoczylas. Jego „Żydzi w miasteczku" odznaczają się wyrazistym rozkładem plam jasnych i ciemnych, siłą i bezpośredniością charakterystyki, ciekawym sposobem ujęcia, „Lato" zaś ze swemi tradycyjnie alegorycznemi atrybutami posiada założenia wyraźnie monumentalne. Jedno tylko zastrzeżenie: dzieła te, właśnie z powodu swej monumentalnej koncepcji, domagają się monumentalnej również techniki: olejnej lub temperowej, która pozwoliłaby jednocześnie na pogłębienie malarskie, niedające się osiągnąć w lekkiej i przezroczystej akwareli.

Trzecim przedstawicielem nowoczesnej koncepcji klasycznej jest na wystawie Szczepkowski. Jego fragmenty kapliczki, która tak wielkie powodzenie osiągnęła na wystawie paryskiej, odznaczają się świetną rytmiką, żywem i oryginalnem odczuciem formy, doskonałą harmonją pomiędzy pomysłem a potraktowaniem materjału drzewnego, przytem wszystkiem jednak dają słabe zaledwie wyobrażenie o wyjątkowo szczęśliwej całości tego świetnego dzieła.

Na trzech powyżej wymienionych kończy się poczet uczestników wystawy, hołdujących ścisłej formie klasycznej. Obraz ś. p. Zaka, pochodzący z ostatniego, paryskiego okresu jego twórczości, jest w porównaniu z całością pośmiertnej jego wystawy najwyrazistszą może ilustracją owych zmian od klasycznego ku bardziej malarskiemu ujęciu, które wraz z całą sztuką dzisiejszą przeszedł ten artysta, tak zawsze wrażliwy na nowe hasła i poszukiwania.

Taką samą ewolucję dostrzegamy również u Rzeckiego, zwłaszcza w jego „Głowie mężczyzny", w której artysta zdaje się przezwyciężać ostatecznie pewien „paseizm", znamionujący dotychczasową jego twórczość.

Prace Kramsztyka zaliczyć należy do najpoważniejszych na wystawie realizacyj. Zaletami całkowicie opanowanej faktury odznacza się zwłaszcza „Krajobraz z Katalonji", łącząc w sposób zupełnie harmonijny klasyczną powagę formy z bogactwem malarskiego ujęcia. W „Senegalczyku" i „Murzynie grającym" głowy, w zasadzie opracowane bardzo poważnie, są jednak zbyt rysunkowe w porównaniu ze swobodą malarską kostjumów, tła i akcesorjów. Toczy się tu jak gdyby nierozegrana jeszcze walka pomiędzy wczorajszą egzaltacją formy a dzisiejszą malowniczością.

Wąsowicz, którego każdy kolejny występ jest rzadkim u nas przykładem

WŁADYSŁAW SKOCZYLAS:
Dziewki z owocami

ciągłego postępu i nieustannej pracy nad sobą, wystawił, niestety, jedną tylko akwarelę, zresztą nieposzlakowaną pod względem faktury, zrozumienia formy i poczucia barwy.

Portret, martwe natury i kompozycje Niesiołowskiego świadczą, jak zwykle, o wysokiej kulturze ich autora.

Odrębny akcent wnoszą dwie uczestniczące w wystawie panie: Pokrzywnicka i Berezowska, obie rozmiłowane w rysunku i w rysunkowej grotesce, w której Berezowska wykazuje znamionującą ją zawsze subtelność w połączeniu ze swoistym humorem.

Na jednym krańcu grupy „Rytm" po-

WACŁAW WĄSOWICZ:
Krajobraz

Trzymając się w dalszym ciągu linji, prowadzącej od plastycznego ku malarskiemu ujęciu obrazu, na miejscu następnem postawić musimy Roguskiego, który powtarza tu raz jeszcze swój bardzo wdzięczny i liryczny motyw, zbanalizowany, niestety, przez samego autora *).

stawiwszy Ślendzińskiego, na drugim umieścić nam wypada Pruszkowskiego. Jest on na wystawie przedstawicielem tendencyj barokowych, tak jak Ślendziński reprezentuje nieubłaganie konsekwentny klasycyzm. Podobnie jak w sztuce baroku wysuwają się u Pruszkowskiego na pierwszy plan zagadnienia faktury oraz poszukiwania charakteru, ze szczególną wyrazistością występujące w portretach p. L. Sądzę, że artysta mógłby bardziej jeszcze wzbogacić swą świetną, ale nieco archaizującą fakturę, gdyby zechciał włączyć do niej pewne zdobycze sztuki najnowszej.

Wacław Husarski.

*) Tutaj powinienbym wymienić obraz Husarskiego p. t. „Chrystus uśmierzający burzę", wolę jednakże powstrzymać się od wyrażenia sądu o artyście, którego z powodu zbyt bliskich związków nie umiałbym może scharakteryzować w sposób dostatecznie bezstronny.

Prenumeratorzy „Wiadomości Literackich" mogą nabywać książkę
PROF. M. ZDZIECHOWSKIEGO
„EUROPA, ROSJA, AZJA"
(szkice polityczno-literackie. str. 334 druku, cena katalogowa zł. 3.—)
za **zł. 1.50**
za pośrednictwem administracji „Wiadomości Literackich"

Camera obscura

Wacio.

W nr. 112 „Kurjera Warszawskiego" zamieścił Wacław Grubiński nowe „Gadu gadu" na temat „Przyjemnie". W czasach gdy ludzie zdychają naogół z głodu i trują się hurtem, miło jest czytać epikurejskie refleksje o Nizzy, stukonnych samochodach, jachtach, obiadach, ministrach i innych przyjemnościach.

„Wmyślcie się, lub raczej wczujcie się w stan psychiczny, ujęty przez słowo: przyjemnie. Wielka to rzecz: Przyjemnie! Wielki to marzyciel! Przyjemnie — to wiedza! Przyjemnie — to cnota!"

Po przeczytaniu tych rozkosznych rozmyślań wzrok mój padł na zamieszczony w tym samym numerze „Kurjera" komunikat Teatru Niewiarowskiej: „Jutro o godz. 12-ej w poł., przedstawienie dla dzieci, na którem odegrane będą „Faworek", „Kajtuś piotkarz", „Wacio nauczycielem" i in."

„Mrakobiesy".

OO. Franciszkanie wydają w Grodnie pisemko p. t. „Rycerz Niepokalanej". W nr. 1 (49) tej publikacji (styczeń r. b.), na str. 26 w rubryce „Iskierki" (!!), czytamy dosłownie:

„Zmarli w Warszawie dwaj wielcy pisarze: Żeromski, apostata, który przeszedł na arjanizm dla rozwodu i w niemoralnych pismach zmarnował swój talent, i niedawno nagrodzony Reymont, który przykładnie przyjął Ostatnie Sakramenta".

Ani słóweczka więcej. Tyle tylko ciemne monachy grodzieńskie miały do powiedzenia o Żeromskim i Reymoncie. Dział „Iskierki" zawiera oprócz tego m. in. wiadomości: „Na Śląsku pojawiły się stada dzików", „Samochody w Stanach Zjednoczonych zabijają dziennie 55 osób".

Autor wzmianki o dwóch wielkich zmarłych pisarzach polskich zechce przyjąć zapewnienie, że się zbłaźnił.

Radość w niebie.

„Kurjer Warszawski" (15 kwietnia b. r.) wydrukował wierszyk patrjotyczny p. t. „Kątem"... Zamieszczany go w całości:

„Duch Dąbrówki z duchem Wandy
w niebie się raduje,
że pan Skrzyński w Pradze Czeskiej
krew niemiaszkom psuje.

Choćby wszystko się skończyło
zyskiem niezbyt tłustym,
król Jagiełło rad zeń będzie
z królem Krzywoustym".

Za takie wiersze daje się laskonogim w kark i łokietkiem w bok.

Kto?

W rubryce „Teatr i Sztuka" (wprawdzie w płatnej wzmiance) „Kurjer Poznański" (nr. 136) nazywa K H. Rostworowskiego „naszym najznakomitszym współczesnym poetą". Nic przeciw temu tytułowi nie mamy, bo tak jest w rzeczywistości, ale idzie o to, że w tym samym numerze, w artykule Wolskiego, „największym z żyjących poetą polskim" nazwany jest Kasprowicz. Więc kto?

Pomieszało się.

W „Głosie Codziennym" z dn. 4 ub. m. czytaliśmy przemiłą fraszkę aktualną, zaczynającą się od słów:

„Dermosteneś z latarką w dzień
szukał człowieka"...

Chodzi zaepwne o słynnego filozofa rzymskiego Dermatologa, którego żona Ksantypa mieszkała w beczce. Był to uczeń Djagonala i Sokrafoklesa.

Nazwiska.

Zarząd izraelickiej gminy wyznaniowej we Lwowie ogłasza w „Warszawiance" (nr. 102), że wniósł prośbę o nadanie nazwisk trzem wychowankom Lwowskiego domu podrzutków: Henrykowi — Prytuler, Klarze — Radzyner, Ewie — Geciner.

Jeżeli Prytuler pochodzi od słowa przytulać — to w porządku. Jeżeli zaś od przytułek — to mały Henio powinien się nazywać Przytułkower. Klara zaś i Ewa mogą być Radzyner i Geciner, chociaż Gminer i Wyznaniower brzmiałoby lepiej.

NOWOŚCI
EUSTACHY CZEKALSKI
NAJUKOCHAŃSZE MIASTO
Cena zł. 3.—
GEBETHNER I WOLFF

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Arct, „Biblioteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Historja literatury, krytyka estetyczna

Ign. Chrzanowski. Marcin Bielski. Studjum historyczno-literackie. Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. Lwów, Książnica-Atlas, 1926; str. VIII i 551 i 1nl. Zł. 12.— Książka zawiera dziesięć rozdziałów: „Życie", „Żywoty filozofów", „Kronika świata", „Kronika polska", „Komedja Justyna i Konstancji", „Satyry", „Sprawa rycerska", „Człowiek i pisarz", „Sądy współczesnych i potomnych". Całość uzupełniają stustronicowe przypiski.

Jan Nepomucen Miller. Zaraza w Grenadzie. Rzecz o stosunku nowej sztuki do romantyzmu i modernizmu w Polsce. Warszawa, F. Hoesick, 1926; str. 201 i 5nl. Zł. 6. — Rzecz zawiera sześć rozdziałów: „Od indywidualizmu do uniwersalizmu", „O zaktywizowanie psychiki narodowej", „Przez twórczość do życia", (język, praca, teatr, twórczość bezimienna), „Na ruinach romantycznych ruin", „Ku uniwersalizmowi" (Reymont, Wyspiański, Kasprowicz, Staff, Leśmian, Żeromski, Kaden-Bandrowski), „Zaraza w Grenadzie".

Powieść, nowela

Kornel Makuszyński. Wycinanki. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1926; str. 311 i 1nl. Zł. 5. — Trzydzieści jeden feljetonów.

Muzyka

Święto pieśni dzieci polskich. II. Opracowała **Julja Baranowska - Borowa.** Nuty pisała **A. Janiszewska - Nebelska.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1926; str. 15 i 1nl. Zł. 0.40. — Tomik drugi „Święta pieśni" zawiera ciąg dalszy pieśni religijnych, narodowych, ludowych i utworów Moniuszki i Noskowskiego.

Szkoła śpiewu według mistrzów włoskich Porpory, Garcii, Lambertiego, oraz problemat postawienia głosu, oparty na zasadach sztuki śpiewaczej Enrico Caruso. Opracowali **Stefanja i Ludomir Różyccy.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1926; str. 62 i 2nl. Zł. 8.— Praca niniejsza jest wynikiem poszukiwań w szeregu bibljotek oraz doświadczenia w dziedzinie śpiewaczo-wykonawczej. Autorom chodziło o uchwycenie pewnych zasadniczych prawd, przekazanych z tradycji szkoły starowłoskiej, jako punktu oparcia w dążeniu do doskonałości.

Filologja

Trzaski, Everta i Michalskiego słownik angielsko - polski i polsko - angielski, opracowany pod redakcją dra fil. **W. Kiersta.** Część pierwsza: angielsko-polska. Zeszyt 1. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1926); str. XIV i 2nl. i 64. Zł. 3.60. — Słownik niniejszy, nie roszcząc sobie pretensji do słownika kompletnego, obejmuje cały zasób wyrazów i wyrażeń, używanych w rozmowach, pismach i dziełach ogólnej treści. Jest słownikiem języka współczesnego. Wprowadzono doń znaczną ilość wyrazów technicznych, naukowych i terminów z dziedziny nauk przyrodniczych i lekarskich, jak również wyrażeń marynarskich.

Korespondencja

J. K. Nie do druku.
C. C. w Ciechocinku. Dziękujemy.
M. P. w Wiedniu. Boy-Żeleński: Smolna 11; p. Dunin-Kozicka; Włodzimierz Wołyński, Syndykat Rolniczy; p. Dorożyńska: Krzemieniec, Bank Ziemi Polskiej.
L. B. w Łodzi. Nie będziemy drukowali.
Lwowskiemu Prenumeratorowi. Dziękujemy.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
SP. AKC., FOKSAL 15, TEL. 111-85
DAJE NA RATY
KAŻDĄ KSIĄŻKĘ POLSKĄ

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
SP. AKC., PLAC 3 KRZYŻY 8, TEL. 84-83,
JEST NAJWIĘKSZĄ HURTOWNIĄ KSIĘGARSKĄ, PRZYJMUJE W KOMIS I NA SKŁAD
GŁÓWNY WSZELKIE WYDAWNICTWA
UDZIELA PORAD
W SPRAWACH ZAWODOWYCH

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.
REDAKCJA: Złota nr. 8. m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1. m. 2 tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.
Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.
Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.